



St.
Wasyłewski

ZERWANA
KOKARDA

Kolekcja
Emila Kornasia

WYDAWNICTWO POLSKIE

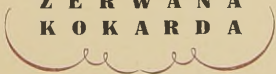
Poznań



DZIEŁA
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

- Ducissa Cunegundis*
Historje Lwoweńkie
Klasztor i Kobieta
Na Dworze Króla Stasia
O Miłości Romantycznej
Pod Urokiem Zaświatów
Portrety Elżbiety Vigée-Lebrun
Portrety Pań Wytwornych
Romans Prababki
Szambelanowa z Walewic
U Księżnej Pani
W Srebrnym Dworku z Modrzewia
-

Z E R W A N A
K O K A R D A



STANISŁAW
WASYLEWSKI



ZERWANA
KOKARDA

Kolekcja
Emila Kornasia

P O Z N A Ń

NAKŁADEM WYDAWNICTWA
POLSKIEGO

OKŁADKĘ I TYTUŁ RYSOWAŁ E. CZERPER.



CM WEL 332439

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ.

DOTYCHCZAS
O TEM MARZĘ.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 58/201 507 /.....

* * * * *

*Dotychczas o tem marzę, dotychczas mi się śni
Ze starej bajki sen, jakby marzyło dziecko
Gdzieś na rozstaju dróg styczniowy pada śnieg,
Najcichszy biały śnieg na równię mazowiecką.*

*Tłum karoc z cyfrą N
I płaszcz redingote gris
(Szaserów trąbka gra,
Wciąż gra, tak mi się śni).
Paradny gwardji krok,
Tam Bernadotte, tu Ney,
Są wszyscy na biwaku.
Jest także pan Duroc
I strojny prince Murat
W złożonym suto fraku,
A wśród nich wojny Bóg — l'em-
peneur!
Styczniowy pada śnieg...
Gdzieś na rozstaju dróg...*

*** ZERWANA KOKARDA ***

*To wszystko mi się śni:
Ten płaszcz redingote gris
I strojny prince Murat
I słowo, które cesarz
Półgębkiem rzekł: soit!
Szaserów trąbki wciąż,
Melodja gra ta sama,
Tłum karoc z cyfrą N
I czarny pysk Rustana
Wścibskiego w gronie świty,
I wszystkich oczu blask
W skinienie Jego wryty!*

*Zaś wokół pól stalowa czerń
Tłum orłów złotych na sztandarach
Przeznaczeń krzyż na armji barach
— Eh bien, mes braves moustaches!
Bonapartego wierna straż
Wiarusów i wąsali,
Którzy, gdy wezmą gwer
Oburącz, to ich krzyk
Wszecchoce świata wali — —
Krzyk słyhać: vive l'empereur!*

*** DOTYCHCZAS O TEM MARZĘ ***

... Tyś Polskę w kwiaty ustroił legendy,
Co najpiękniejsze w dziejów wirydarzu,
Tyś mimochcący budził w nas powszędę
Wiarę w ogromne jutro, o cesarzu!
Wśląd za zdyszczanym rydwanem zwycięstwa
W twoim orszaku, cudowny herosie,
Szły szwoleżery warszawskiego Księstwa,
Szukając Polski na dziejowej szosie.
Od Berezyny do Guadalquiviru
Rdza krwi brukala złote epolety,
A tuż przy każdym żołnierzu empiru
Biegł rozstępniiony sentyment kobiety.
Cesarz Francuzów, syty róż i wieńców,
Miał w nas kohortę wciernych sprzymierzeńców
Nie przeto tylko, że swą szablą ostrą
Rozcinał dzieje, przedziwny Cagliostro,
Nie przeto tylko, że mocnemi stopy
Kruszył glinianą bryłę Europy,
Lecz że rozkazał: niechaj wskrześnie ninie
Znów bajka zapomniana od czasów husarzy
I pieśń zbudził, o której dotąd szpinet marzy,
Pieśń o ulanie polskim i dziewczynie.
Do okien naszych pukal orzeł złoty,
Budził gąski zamknięte na wsi wśród alkierza,

*Uczył miłości pierwszej i tęsknoty,
Przysyłał czule listy od żołnierza,
Polskie kochanie we francuskim kepi,
Każda z nas miała swego księcia Pepi.
Bóg był z Cesarzem, Napoleon z nami,
Z nim szwoleżerzy, my z szwoleżerami!*

*Ślicznie ubrany był mój narzeczony,
Z ramion błyszczwały sute akselbanty,
Na opiętej sznurówce złociste galony.
Białą rabat i kraśne wszędzie amaranty,
Taki strojny i jasny w przeogromnym kasku
Jak święty Jerzy, w farze, na obrazku.
A w sercu grało sto hymnów weselnych,
Gdy go świat nazwał najdzielniejszym z dziel-
nych!*

*Tropem ich sławy, w szczęściu czy udręce
Pod Pireneje i na Włoch kobierce
Biegły z zaścianków nasze sny dziewczęce,
Biegło bijące, rozkochane serce,
Jak zalęknione, maluchne jaskółki,
Do Saragossy, Lipska, czy Smoleńska
Szła markietanka: tęsknota panińska.*

*** DOTYCHCZAS O TEM MARZĘ ***

*Mój szwoleżer, bywało, pisał mi z Madrytu
Słowa gładkie i dziwnie lśniące jak aksamit,
A szarotkę mi przysłał gońcem gdzieś z Alp
szczytu.*

*Też suwenirek przywiózł z pod piramid.
Ja wieści z Austerlicu otrzymałam pierwsze
Pisane na tornistrze o miłości wiersze,
Ze zgorzeliska zaś Moskwy studziconnej
Przyszedł znak wiary świętej i dozgonnej.
Kula mu wtedy roztrzaskała żebro.
Zaś zdradził mnie z Hiszpanką ponad rzeką Ebro.
Więc zatuliwszy oczy mym szalem z kaszmiru,
Okryłam łzami legendę empiru.
Zostały po niej w szufladzie z mahoniu
Czarną wstążeczką spowite ordery
Garść listów i piosenka, wiecie, «Tam na błoni.»
Została święta sława Samosierry,
I mundur jeneralski na dziada portrecie
I ulan, który stoi na widocie,
I jeszcze rozkaz, co swój blask zachowa,
Rozkaz wpisany w dziejów polskich kartę,
Zwyczajne, proste dwa żołnierskie słowa,
Hasło: Elstera! odzew: Bonaparte!*

*** ZERWANA KOKARDA ***

*Dotychczas o tem marzę, dotychczas mi się śni
Ze starej bajki sen, jakby marzyło dziecko.
Gdzieś na rozstaju dróg... styczniowy pada
 śnieg,
Najcichszy, biały śnieg na równię mazowiecką.*



PANI WALEWSKA.



dy Arsen Lupin, najwytworniejszy z włamywaczy, zakradł się do mieszkania pana Gerbois, skromnego profesora matematyki w gimnazjum wersalskiem, policyści Paryża zachodzili w głowę, dlaczego to uczynił. Majątek profesora pozostał nietknięty, gotówka i kosztowności nienaruszone, w mieszkaniu nie brakowało niczego, z wyjątkiem drobiazgu, do którego nikt wogóle, ani sam pan Gerbois, nie przywiązywał szczególniejszej wagi. Był to niebrzydki, ale zwyczajny sekretarzyk mahoniowy, niezbyt dawnego pochodzenia, z szeregiem staroświeckich skrytek. Pan Gerbois kupił ów miły sprzącik za 60 franków córce swej na imieniny, a oto w parę godzin później Arsen Lupin dokonuje kradzieży. Nikt nie umie wytłumaczyć dziwnego gestu włamywacza. Ten zaś zaciska ręce z uciechy, bo zdobył skarb, którego wartość sam jeden

ocenia. I raz po raz otwiera tajemną skrytkę, aby odczytać napis wyryty wewnątrz ostrzem scyzoryka: „*A toi Marie*“. Tylko Arsen Lupin wie, że te trzy słowa wyszły z ręki Napoleona, tylko Arsen Lupin odgadnął, że sekretarzyk był ongi własnością Marji Walewskiej!...

Jakże znamienny jest wybór takiej pointy w romansie kryminalnym Leblanc'a! Świadczy on o popularności szambelanowej z Walewic, którą zeszytowe powieści, oleodruki i melodramaty zbanalizowały w sposób smutny. Imię tej kobiety owionął już współcześnie tajemniczy, ale uparty zapaszek skandalu. Choć trudno pojąć, dlaczego dotknęło ją takie kłętwe załamanie rąk? Bo przecież zbrodni żadnej nie popełniła. O dziesiątek lat wstecz nieco starsze od niej damy, żyły nieomal wszystkie poza granicą dobrego i złego, w każdym uśmiechu przeniewiercze, w całej swej etyce potworne, nierzadko sprzedawcze, często zbrodnicze. Lecz że było to w stylu epoki, więc im przebacza historyk. Córki następnego po p. Walewskiej pokolenia były

także wielebne i czczone, albowiem przywdziały wygodną woalkę romantyczności, która pozwalała wiele. Na rozdrożu rokoka i romantyczności stoi zapłakana pasterka empiru, sama jedna. Z jej łez nadmiernych szydzą frywolne rówieśnice, jej lekkomyślność potępiają świątobliwe romantyczki.

Nie chcą jej też znać historycy. Bo cóż znaczą dzieje kobiecego serca, wobec dziejów jednej bitwy, lub jednego mrugnięcia powiek dyplomaty? Historycy polscy nie lubią tematów o sentymentalnem tworzywie. Tylko Francuzi pisali o pani Walewskiej. Gdyby nie Masson, nie znalibyśmy wogóle kolei jej życia, gdyby nie Constant, *premier valet de chambre de l'empereur*, cynik, który przed tą jedną damą uchylił czoła z uszanowaniem, wtrąconoby ją w tłum roześmianych, rachunkowych i pustych kochanic Imperatora.

Ludzie współcześni również omijali sprawę i nazwisko. Nie wymawiano go wogóle przez wiele lat. Polscy aktorzy epopei napoleońskiej,

po których zostały całe szafy pamiętników, porozumieli się, jak gdyby, by aferę przemilczeć. Ledwie mimochodem a z niesmakiem wyrzekli po kilka słów, wykropkowszy nazwisko. Damy współczesne (Potocka, Nakwaska, Rémusat) pokłudy szambelanową szpileczkami zawiści. Czasem ją ktoś bardzo głośno potępił, lub usprawiedliwił — bardzo po cichu. (Trembicka, Niemcewicz). A zawsze półsłówkami.

Być może, że tak jest właśnie lepiej i pani Walewskiej bardziej do twarzy. Z owym urokiem niedopowiedzeń, z pieczęcią milczenia na ustach klasycznych świadków, z tiulową zasłoną sentymentu, rzuconą na sprawy, których w detalach znać nie potrzeba. I jeszcze z ową drobiną bajeczkowej poetyczności.

Historję pani Walewskiej opowiadała przeszłość niechętnie głosem przyciszonym, czasem szeptem ledwie słyszalnym. Tiulowa zasłona sentymentu okrywała postać szambelanowej dokładniej, niżli to czynią batysty na portrecie Lefebvre'a. Dopiero najnowszy bio-

*** PANI WALEWSKA ***

grafowie cesarza (Turquan, Fleischman) jęli uchylać zasłony i nawet krawców pytali o zdanie. Zarówno u nich, jak i u ludzi współczesnych, w listach i pamiętnikach zasięgnęliśmy wiadomości do opowiadania.



zaczęło się, jak w każdej bajce. Była sobie Marysia Łączyńska w białej sukience, z niezabudkami w oczach. Miała warkocze złote i cerę z płatków różanych. Jak zwykle księżniczki z bajki. Nie wszystko musi być w bajce dokładnie wiadome, tedy nie wiemy, gdzie się rodziła. *Au pays de Cocagne*. Trzebaby dojść, gdzie pan starosta Łączyński żytko swoje zasiewał. Kiedy rodzona, też niewiadomo. Prawdopodobnie w tym samym roku 1786-tym, w którym pewien młodziutki porucznik z Korsyki, nudząc się w garnizonie w Valences, czytał po raz pierwszy „Cierpienia Wertera.“ Księżniczka była naprzód kopciuszką, ostatnim wśród sześciorga rodzeństwa, w domu, w którym liczono i to z trudem na grosze, nigdy na dukaty. Pani Łączyńska potrzebowała tych groszy bardzo wiele, by je posyłać

na utrzymanie dwóch synów, którzy niby-to uczyli się w korpusie kadetów Króla Jegomości. Snać tkwiły w dziewczątku jakoweś dobre „pryncypja,” bo, rosnąc tak samopas, trwała przecież w cnotliwości. Choć nikt, jako żywo, od niej tego nie żądał, ani przykładem nie błyszczał. *Dans leur famille les principes n'étaient pas une sauvegarde* — zauważa dyskretnie i złośliwie p. Trembicka.

Guwernera miała wraz z braćmi i młodszą siostrą przedziwnego. Cała Polska mogłaby go jej pozazdrościć, gdyby już wtedy wiadomo było, czyim to ojcem będzie kiedyś ten czcigodny, uroczysty i najpocziwszy pedagog, pan — Mikołaj Chopin! Pan Chopin nauczył Marysię wielu pożytecznych rzeczy, a przedewszystkiem dobrego akcentu francuskiego, a przedewszystkiem nie zgasił żadnej z tych pocziwych tęsknot, które mieszkają w dziewczęcym serduszku.

U pani starościny Łączyńskiej bywała często w gościnie pani Skarbkowa, jej przyjaciółka i sąsiadka, której syn, głośny później

powieściopisarz i ekonomista, napisze w swych pamiętnikach:

„Marja Łączyńska, wówczas około 14-tu lat licząca, rzadką odznaczała się pięknnością. Lubiła ona bawić się ze mną, 10-letnim chłopcem, i ujmującą dobrocią. jakoteż niewymownym powabem wdzięków swoich, braterskie poniekąd przywiązanie we mnie rozbudziła. Wrażenia niewinnych z nią zabaw pozostały mi na zawsze w pamięci.“

Po ukończonej domowej edukacji pospieszyła Marysia Łączyńska na pensję do Warszawy.

Elle avait reçu une brillante éducation, zapewnia Constant, który wiele słyszał i podsłuchiwał w swojej antyszambrze. Wiadomo, jak z ową edukacją zazwyczaj bywało. *Moitié popolsk, moitié français*. Historja o Krakusie i Wandzie z Naruszewicza, ale na francuski przelożona. I haftować, co kto żąda, od mu chy aż do wielbłąda. Niewiadomo, czy Marysia Łączyńska pożywała owych mądrości na rozgłośnej pensji p. Hochheimer w pałacu saskim, bo była owa pensja bardzo droga, to

jednak stwierdziłem z pewnością, iż uchodziła za jedną z najlepszych uczennic imci Kurczyńskiego. Stary ów człowiek, nauczyciel trojga pokoleń, słynął szeroko ze swej podagry i srogości. Sadzano go ostrożnie na krześle z poręczami, by zboląłemi palcami wskazywał kroki. Albowiem był metrem tańca. Od godziny lekcji brał imć Kurczyński złotego dukata i dwiema tylko uczennicami zwykł się chlubić: p. Łączyńską a potem Joanną Grudzińską, których obu los rozstrzygnął się w cudnie odtanńczonym turze kontredansa.

Bajka musi być po wiek wieków ta sama i wcale się tego nie wstydzi. Więc gdy Marysia Łączyńska dobiegła lat szesnastu — przysłał w swaty pan bogaty. Księżniczkę porwał stary smok z Walewic, który dwie żony pochował, a trzeciej szukał. Miał on wiele wnuków i dukatów, które przegrywał w faraona, a chociaż wywodził się od rzymskich patrycjuszów i skończył lat siedmdziesiąt, chociaż cierpiał na podagrę, przecież mógł się jeszcze poruszać o własnych

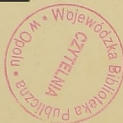
siłach. Masson zapewnia, że był jeszcze drugi kandydat do ręki p. Łączyńskiej, pono rosyjski generał; z dwojga złego wybrano szambelana. Niebożątka w białej sukience, pachnące lawendą i zaściankiem, zostało panią szambelanową i padło na ziemię zemdlone. Albowiem tak zawsze w bajce panny polskiej bywało.

Szambelanowa Walewska *née* Łączyńska, gdy jej niezabudkowe oczy z pierwszych szlochów obeschły, ujrzała się w świetle błyszczącym, zgola jej dotąd nieznanym, w towarzystwie wojewodów sieradzkich, grafiń z Wołynia i panów na Lubarze, takie bowiem tytuły ozdabiały Walewskich. Dwóch synów miał z poprzednich małżeństw pan szambelan, przytem wieniec cały słodkich kuzynek, ciotek uroczystych i serdecznych bratowych. Zapewne wszyscy zauważyli w młodej mężatce to samo, co później spostrzeże pani Potocka: „Ukształcenie jej umysłu było równe zeru.“ Należało co prędzej uzupełnić zaniedbaną edukację. Przypuszczam, że pan Walewski zlecił to dwom paniom, z domu Wa-

*** PANI WALEWSKA ***

lewskim: p. Teresie Jabłonowskiej i Chodkiewiczowej. Wybór wychowawczyń był w istocie trafny. Aleksandrową Chodkiewiczową znamy jako osobę o najobfitszej biografii w całym chyba Księstwie Warszawskim. Tempo jej życia imponowało nawet najwzelszym lalusiom z pod Blachy. W rząd jej kochanków stawali posłusznie rosyjscy generałowie i romantyczni poeci, starzy hreczosieje i młodzi porucznicy. Przytem układała piękne kompozycje do czułych śpiewów Niemcewicza i nosiła z dumą wzorzysty fartuszek siostry farmazońskiej 1-go stopnia. Wszelako żadnego z tych przeróżnych kunsztów nie przejmie od niej p. Walewska.

Dwie rodzone siostry męża, panie Jabłonowska i Bierzyńska wraz z Adamową Walewską uczyły szambelanową tajemnic wielkiego świata oraz sztuki podobania się ludziom wysokiego urodzenia. Tych rad posłucha pani Marysia kiedyś później, nie teraz. Do serdecznych powiernic jej zaliczać się wkrótce będzie rozgłośna p. Cichocka, „blondynka zmiągnięta”, której życie było jednym ciągiem mi-



łosnych awantur.“ Na wieść o nich zgorzzone oczy pani szambelanowej przymykają się ze strachem i zgrozą. Owe panie musiały się gniewać obficie, widząc, że niczem nie zaimponują cnotliwej trusi, która jest głucha na wszelakie pokusy galanterji, nie odczuwa czułych sentymentów pasterki nad riwążem strumyka, a zamiast płakać nad dolą Heloizy, płacze nad swą własną. Zaiste, „jej ukształcenie było równe zeru.“

Bolejąca nad swą dolą przy boku stareńkiego męża, nie słyszała wcale pani Walewska, jak sześć mil od Walewic w Warszawie śpiewają strojni panowie i panie rozgłośny hymn na cześć życia. Był właśnie rok pański 1803, czas największego rozmachu blaszanej swawoli. *Au pieds de jolies femmes de son pays* składał szalony ks. Pepi trybuty rycerskiego temperamentu. Mogła być codzien wieczór u Vaubanki pani szambelanowa, mogła, prawem swej foremnej buzi, zasłynąć jako najpiękniejsza wśród sultanic ks. Pepi i co wieczór pieścić się w ramionach, gorętszych od ramion pana szambelanowych.

Wszelako nie bywa pod Blachą prawie nigdy. Zbyt weseli wydają się ci ludzie jej, płaczącej, zbyt przemądrzy nieuczzonej, zbyt swobodni wstydlivej. O piękności młodej szambelanowej dziwy różne opowiadano. Nie bez przesady. Bo wzrostu była małego (*la petite comtesse* będą potem mówić w Paryżu), oczu zbyt wielkich, nazbyt rumiana na twarzy.

Bajka opiekowała się Marysią dalej. Uśpioonej wśród walewickich opłotków wypadło, najcichszej z księżniczek, czekać na królewicza. Przyjechał najwspanialszy, jakiego kiedykolwiek widziała historia Europy. Pobił Rosjan pod Pułtuskim 26. grudnia 1806, a w dzień Nowego Roku stanął w Warszawie.

Murat, zdążający w teatralnym stroju z aksamitów, złotych guzów i strusich piór na czele sztabu ku Nowemu Światu w Warszawie, wjeżdżał naprawdę w świat nowy dla nich wszystkich. Wiedzieli zgóry, że w tym kraju niema wcale szos i przystojnych kwater, niema cywilizacji i nowoczesnych urządzeń, natomiast znajdzie się dużo *kleba* dla zawsze głodnej armji i dużo, nad podziw dużo pięknych kobiet. Od bitwy pod Jeną począwszy, żony marszałków napoleońskich drżały w domu z niepewności. O urodzie Polek opowiadano we Francji dziwy już za *ancien régime*'u, o słodkiem szaleństwie pań stanisławowskich pisał Rulhière, niebezpieczną ich zalotność opiewały nawet piosenki bulwarowe. Biwak w dziwnem mieście, które, mimo iż leży na granicy Azji, słynie z bezliku pięknych pań, zapowiadał wiele oficerom wielkiej armji.

Już w Poznaniu Duroc, nie odmawiający Napoleonowi najdrażliwszych nawet przysług *jusqu'à l'absence du sens moral*, otrzymuje polecenie wyszukania w Warszawie interesującej Polki dla osoby Imperatora. *Une femme polonaise*. Aby cesarz tem lepiej poznał kraj, o którym wie tyle tylko, co z książki Rulhière'a.

A przeto najniespokojniejszą ze wszystkich pań Paryża była — cesarzowa. Już na długo przedtem. Jak gdyby w przecuciu idącej na nią klęski, śle teraz imperatorowa codziennie list za listem i prosi w każdym — ona, która nie chciała słyszeć o podróży do Włoch — o pozwolenie przyjazdu do Polski. W każdym liście wspomina o Polkach, tęskni bardziej niż zawsze i zaklina: „Sire, pamiętaj, że należysz do mnie!“ Napoleon tłumaczy, jak umie, małżonce, że jest w błędzie. „Wszystkie te Polki — pisze z Poznania, 2. grudnia 1806 — są właściwie Francuzkami! Mimo to dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. *La connais-tu?* Ty nią jesteś!“... *L'impératrice* wydyma usteczka w odpowie-

dzi. Ani jej przez myśl nie przeszło być zazdrosną; co powiedziawszy, wraca znowu do... pięknych Polek. Cierpliwy mąż odpisuje każdym razem, a jego listy mogą być świetnym podręcznikiem dla wiarołomnych małżonków. Ostatni raz, tym razem już z Pułtuska, 31. grudnia 1806, chwilę przedtem, nim wsiadł do karety, która go miała powieźć ku Warszawie: „Śmiałem się do rozpuku, czytając twe ostatnie listy! Nabrałaś o Polkach wyobrażenia, na jakie wcale nie zasługują!“

Sam tymczasem był wprost zachwycony zapalem Polaków i dyktował do XXVI. biuletynu wielkiej armji: „Nasz wjazd do tego pięknego miasta był triumfem; uczucia, jakie nam okazali Polacy wszystkich warstw, nie dadzą się wyrazić.“

Przez kilka pierwszych dni, dopóki nie zaczęły się rekwizycje i łupiestwa, Warszawa była oczarowana Francuzami. Każda z pań chciała koniecznie widzieć Napoleona, raz choćby spojrzeć w oczy boga wojny. Stało się to taką samą modną tęsknotą, jak nie-

dawno w wieku XVIII-tym było zobaczenie Woltera lub pielgrzymka do grobu Petrarcki. Jeździły damy tam i sam karocami po wszystkich traktach wielkiej armji, wypatrując pilnie, czy gdzie nie dojrzą czarnego mameluka Rustana lub cyfry złocistej na karecie. Np. ks. Helena Radziwiłłowa z Nieborowa, choć jej szwadrony konnicy Murata zniszczyły całą krescencję, nie posiada się z radości na wieść, że cesarz przejedzie dziś przez jej włość. Przyjechał, nawet wstąpił i zjadł obiad najlaskawiej, lecz nie Napoleon, jeno Achilles de Touches, ten słynny w Europie sobowtór imperatora. Półprzytomna z rozkoszy, złożyła mu, mimo śmiechu i protestów, pokłon, prosiła o łaskę dla Polski i nigdy, nigdy wytłumaczyć sobie nie dała, że to nie był Napoleon! Szczęśliwsze były damy, mieszkające w pobliżu traktu, którym jechał Bonaparte. Te wylegały wszystkie do stacyj pocztowych i zajazdów. Była wśród nich 17-letnia Klementyna Tańska (jeszcze nie Hofmanowa) i zapamiętała chwilę dokładnie w swych pamiętnikach:

„Napoleon nie bardzo mi się romansowo ukazał. Miał konie zaprzęgać w Cegłowie, w karczmie na drodze z Błonia do Sochaczewa. Ta karczma należała do naszej pani starościny i pojechaliśmy tam czekać na niego. Właśnie powozy nasze stanęły, kiedy cesarz zajechał także, wysiadł nawet, a że jakoś poszedł za karetą naszą — wszystkie panie rzuciły się do okien, a ja jako najmniejsza do okienka w tyle karety...“

W dziwnej chwili znalazła się tu przyszła autorka „Wiązania Helenki.“ Bo oto za parę godzin w następnym zajęździe oczy boga wojny spotkają się po raz pierwszy z oczyma Marji Colonna Walewskiej.

Karoca z cyfrą Bonapartego dojeżdża do Błoń. Czarna gęba mameluka Rustana szczyrzy zęby z kozła, białe i puszysty śnieg z bajki sypie się cicho na pola i opłatki wokół karczmy...



akże można w karczmie?... Niektórzy historycy gniewają się o to na Massona, że w swej poetycznej, pełnej gwiazd i smutków, ale ubogiej w dokumenta opowieści, oznaczył pierwsze spotkanie Napoleona z panią Walewską na przepręgu koni w Błoniach. Już raczej wierzą pani Potockiej, która twierdzi, że stało się to na balu u Talleyranda, lecz cóż w takim razie zrobić z relacją złośliwej madame de Rémusat, opowiadającej jeszcze inaczej i co gorsza odzierającej legendę w sposób brutalny z wszelkiego uroku? Wszelako Masson, który korzystał z nieznanych nam dokumentów, ma w tym wypadku rację. Potwierdzają ją daty listów Napoleona. Dnia 31. grudnia pisał z Pułtuska do cesarzowej, dnia 2. stycznia w Warszawie posłał pierwszy list i kwiaty p. Walewskiej. W ciągu tych kilkudziesięciu

godzin nie było żadnych balów, więc nie mogli poznać się na balu, tem mniej u Talleyranda (17. stycznia). Atoli Al. Kraushar wywodzi, że Napoleon nigdy w Błoniach nie był, bo ze wschodu od Pultuska nie jedzie się do Warszawy przez Błonie, leżące na zachód od stolicy. To nie jest argument. Powodów omińnięcia prostej drogi mogło być wiele, chociażby prosty fakt zajęcia jej przez tabory. Że cesarz jechał przez Błonie, zaświadczyła już powyżej Klementyna Tańska.

Tymczasem „upojenie Warszawy dosięgło szczytów, całe miasto oświetliło się jakby cudem,“ chociaż o lój do lamp było niesłychanie trudno. Po entuzjastycznym powitaniu wielkiej armji przez ulicę postanowił powitać Francuzów salon Warszawy. Chciano, by goście nabrali przekonania, że jakkolwiek w Polsce brak szos i budynków, choć niema pieniędzy ani ładu wewnętrznego, jakkolwiek właściwie niema wogóle niczego, to przecież pozostał jeszcze salon i życie towarzyskie, dorównujące tonem, kulturą i tradycją Paryżowi, są damy mówiące od biedy po fran-

cusku, są ludzie świetnie wyszkoleni w etykiecie *ancien-régime*'u.

Panie z high-life'u warszawskiego (i wogóle z całego kraju zgromadzone w stolicy) czekały niecierpliwie chwili, w której będą mogły olśnić świeżo nobilitowanych torysów Napoleońskich przepychem swych biżuterij, pereł i brylantów. Wszak od tak dawna nie przydarzyło się ich pokazywać nikomu, zasługującemu na uwagę. I postawiły na swoim. Pomimo czasy najpodlejsze, pomimo brak gotówki, jakiego nigdy pierwej nie znano.

Pierwsza recepcja w zamku, bal dany przez cesarza, moment, w którym korowód pań, haftowanych złotem i perłami, strojnych brylantami wszystkich Jagiellonów, przeszedł wśród szpaleru zdumionej świty cesarza, jest dla nich największym zwycięstwem z całej kampanji napoleońskiej. „W Paryżu nie widziałem niczego podobnego“ szeptuje jakowys dygnitarz na widok toalety p. Potockiej z czarno-złocistych aksamitów *à la Mathilde*.

Wrażenia dworu cesarskiego notuje w imieniu wszystkich ks. Rovigo: „Pobył w War-

szawie był dla nas czemś czarownem. Wyjawszy teatr, żyło się tak samo, jak w Paryżu. Panie polskie dzięki swej piękności i szczególnemu urokowi budziły zachwyt, mogą być one przedmiotem zazdrości wszystkich innych narodów. Są nietylko światowe, ale i bardzo wykształcone, co się nie zawsze spotyka u Francuzek.“ Legenda o wdzięku Polek okazuje się prawdą. Oficerowie napoleońscy radują się z tego bardzo. „Wszyscy nasi mężczyźni wydali się teraz odrazu nieznośnymi gburami! — wzdycha p. Mańkowska w swych pamiętnikach. — Nieodżałowane z tego wykrycia zaszły konsekwencyje!“ Jakoż marszałkowie i generalowie wielkiej armji byli szczęśliwi, zawodu doznał tylko — bóg wojny! Cieszył się zgóry na erotyczne rozrywki, gotowane mu przez Duroca, znalazł miłość, za którą zapłacił sercem, jedyną pono wielką miłość swego życia.

Na jednym z balów, które nastąpiły po recepcji zamkowej, ujrzał cesarz po raz drugi szambelanową z Walewic. Masson, a za nim powieściopisarze, mieli, jak wiadomo, wiele

kłopotu, nim zdolali wyprawić panią na ten bal. Nie chciała w żaden sposób, mimo wszelkie perswazje. A wreszcie poszła, ale pod opieką bajki. Nie w aksamitach, złotem haftowanych, lecz w swojej białej sukience. Cesarz, który wcale nie umiał tańczyć, stawia obok niej niezgrabne kroki kontredansa. Imć Kurczyński odnosi największy triumf życia. Czy potrafiła wtedy zdobyć się na ową znaną dowcipną odpowiedź (*trop bien pour un héros*), niewiadomo. Pani Potocka twierdzi, że to jej, nie Walewskiej, udało się tak dowcipne wyrażenie. *Soit*. Bajka miała teraz opowiedzieć swą największą dziwność i — wypuścić pupilkę z opieki.

Działy się jedna po drugiej rzeczy niepojęte, nawet dla ludzi, którzy od lat kilku, od pierwszych godzin XIX-tego stulecia, żyli w kręgu samych cudownych wydarzeń. Bo z tych wszystkich wspaniałości, które siły się, by zaimponować cesarzowi Francuzów, z całego pocztu nadwiślańskiej noblessy, skologiaconej z domami panujących, z tych jedenastu pań Potockich, pięciu Radziwillo-

wych, czterech Lubomirskich, z pomiędzy najdroższych diademów, najlepszego akcentu francuskiego, najwierniejszej etykiety *ancien-régime'u*, z wieńca strojnych dam, z których jedna była piękniejsza od madame Récamier, druga znała wytworność Paryża lepiej od wielu świeżej daty comte'ów empiru, trzecia mówiła po francusku dźwięczniej, niż członkowie Akademji — z haremu najświetniejszych, stęsknionych i rozpustnych paryżanek północy — wybrał bóg wojny lawendę, zaścianek i niezabudki. Wybrał mężateczkę w białej sukience, która żyła cnotliwie, chociaż nikt od niej tego nie żądał.

Było to takie proste, że aż niezrozumiałe.

Przyjaciółki p. Walewskiej pospieszają nas odrazu upewnić, że sukces szambelanowej nie był tak wyjątkowy, by o nim tyle mówić. Nie sama p. Walewska podobala się cesarzowi. Przypatrywał się także z zajęciem p. Sobolewskiej, w której wkrótce zakocha się nie szczęśliwie poseł cesarski Serra. Pani Potocka zaręcza słowem, że jej także oświadczył się książę Murat, ale, rzecz prosta, odrzuciła

natychmiast z oburzeniem śmiałą propozycję, jakkolwiek sekretarz księcia przyniósł odrazu z sobą klucz od jego gabinetu. A Talleyrand? *Entre nous soit dit*, proszę państwa, znaczy on więcej od samego Napoleona, mimo to szaleje z miłości dla jednookiej Ty szkiewiczowej. A panna Parys, z pewnością piękniejsza od Walewskiej? Jedną rozmową podbija generała Morand w tym samym czasie i prowadzi go przed ołtarz. A Kunegunda z Giedroyciów Białopiotrowiczowa, miłość Coulaincourt'a, a Madalińska, o której mówią, że usidląła pewnego marszałka? A pani Cichocka, rozwódka dla duc'a de Fleury, który opuścił ją w czasie rozvodu dla innej? Lub p. Nakwaska, kompromitowana i tyranizowana przez hrabiego d'Agout?

Tak, to wszystko było prawdą, wszelako cesarzowi Francuzów podobala się szambelana z Walewic.

Fakt, że osóbką, której „inteligencja równa się zeru,” zwróciła uwagę cesarza, nie przyporzył jej wcale przyjaciół. Już od tej chwili straciła łaskę w oczach pamiętnikarzy. I tylko

jeden człowiek zachowa o niej wysokie wyobrażenie i złoży hołd w słowach, jakich nigdy w swem cynicznym życiu nie używał. To Constant, przyboczny kamerdyner Napoleona. „Nazajutrz po balu — opowiada — zdziwiony byłem niezwykłym podnieceniem cesarza. Wstawał, chodził, siadał i znów wstawał. Zdawało mi się, że nie zdola m dnia tego doprowadzić do końca toalety Napoleona. Natychmiast po śniadaniu cesarz dał poufną misję pewnemu wysokiemu dygnitarzowi, którego nie wymienię, zalecił mu złożyć wizytę p. Walewskiej i wyrazić jej hołd i życzenia cesarza.“ (Był to Duroc, jak wynika z listów, a nie ks. Józef, jak chce Masson).

Tu stała się druga dziwność, również bardzo prosta w przekonaniu p. Walewskiej. Powiedziała: *nie!* Nie przeszło jej wogóle przez myśl, że można powiedzieć: *tak*. Albowiem wzrosła w cnotliwości, której od niej nikt nie żądał. I przywiozła z sobą do Warszawy wszystkie pryncypja zaścianków. Należy zdać sobie sprawę z powiedzenia *nie*.

Słowo owo znikło oddawna z dykcjonarza kobiety, od wielu dziesiątków lat. Przynajmniej w sferach, w których żyła teraz szambelanowa. Wytworne panie przywykły mówić wszystkim dokola — *tak*. Mówiły po trzykroć i skwapliwie nietylko królom i książętom krwi, mówiły także Repninom, Igelströmom i Stackelbergom, mówiły fryzjerzykom i kamerdynerom. A teraz przyjechała niewiedząca o tem wszystkim gaska z Walewic i uczyniła afront cesarzowi Francuzów! Łatwo pojąć, co działo się w owej chwili w otoczeniu imperatora, co odczuwały zgorzone nietaktem principessy warszawskie, no i ów „wysoki dygnitarz nieznanego nazwiska“ — najwięcej dziwił się Constant, który, korząc się przed powagą faktu, przekazuje go potomności w słowach tacytowskich: *Elle refusa*.

L'homme de l'Europe, który dotąd zwykł afery miłosne załatwiać półgębkiem przez Rustana, Constant'a, najwyżej Duroc'a, wszechmocny samiec, któremu dziewice Berlina przybiegały nieproszone pod drzwi sy-

pialni, znalazł się w sytuacji, jakiej nie znalazł przedtem ani potem. *Il trouva à Varsovie l'idylle unique de toute sa vie.* Pokochał kobietę, kobieta zaś powiedziała mu: nie. Albowiem ślubowała wierność mężowi.

Postawiony wobec sytuacji bez wyjścia, cóż czyni Napoleon, arcy mistrz strategii? Najpierw to samo, co wszyscy ludzie zakochani, wzdycha, pisze i posyła kwiaty. A te listy! W całej korespondencji Bonapartego niema drugich, tak przedziwnie prostych, tak po studencku najmiłszych. List pierwszy: Kocham Ciebie i nikogo więcej! List drugi: Czemu nie odpowiadasz, czy się gniewasz? List trzeci: ... Są chwile w życiu człowieka. *Il y a des moments...*

Niestety, nie były to jedyne listy Napoleona, datowane z zamku warszawskiego.

Równocześnie musiało się pisać inne, małżeńskie, jakże przepyszne w niezgrabnej skwapliwości! Kurjer cesarzowej zawoził coraz słodsze instrukcje do Mayence: „... Nie wybieraj się, duszko, do Polski, bo, uważasz, drogi tutejsze są bardzo złe...“ „... Wracaj

do Paryża, gdzie jesteś potrzebną, bądź wesołą i okaż siłę charakteru...“ (7-go stycznia) „...Oh, jak bardzo chciałbym spędzić te długie wieczory przy tobie, ale cóż robić?“...

Cesarzowa odpisuje natychmiast, p. Walewska milczy. Brylanty pogorszą jeszcze sytuację; obiad we troje, z Duroc'iem, także jej nie poprawia. „Dano do zrozumienia cesarzowi, że żąda niemożliwości, że wybrał kobietę, z którą może przegrać“ powiada w tem miejscu p. Trembicka.

Wypadało sięgnąć do środków dostępnych tylko cesarzowi Francuzów.

Bajka opuściła bezradnie ręce.

Nastąpiły incydenty zgrzytliwe, nieciekawe, mącające piękno chwili, albowiem piękną jest zawsze chwila, w której walczy z sobą kobieta, dręczona wieczystym dylematem. Kobieta, która pragnie siebie zwyciężyć i zostać cnotliwą. Wszelako poskąpiono pani Walewskiej ciszy w tym momencie. Równocześnie w dwóch środowiskach wszczęła się gorączkowa działalność, aby dopomóc cesa-

rzowi do zwycięstwa. Wśród świty cesarskiej i pod Blachą. Dworacy czynili wszystko, by uszczęśliwić Napoleona, i Blacha czyniła wszystko, widząc w wydarzeniu nieomal palec Boży. Ludzie Księstwa Warszawskiego lubili łączyć tyle odległe sprawy z dziecięcym upodobaniem. Gdy n. p. Konstancja Łubieńska została damą dworu cesarzowej Józefiny, gratulowano generałowi tego wielkiego sukcesu sprawy narodowej. Polska będzie, co mówię, już jest Polska, skoro pani Konstancja została damą dworu. Albo w parę lat później, skoro Aleksander I. raczył najmiłościwiej zażądać po raz drugi czerwonej kapusty przy obiedzie w Puławach.

W domu najskromniejszej z kobiet nie zamykały się drzwi od wysłańców i medjatorów. O Duroc'u, jak zabiegał na wszystkie sposoby, słyszeliśmy już poprzednio. Masson każe nadto być ks. Józefowi bardzo czynnym w tej śliskiej aferze. Wypada wątpić, czy Napoleon już wówczas dopuszczał księcia do tak wielkiej konfidencji osobistej. Mógł raczej książę działać z własnej woli, zleciwszy całą

sprawę osiwialej w rajfurstwie Vaubance. Narzędziem Vaubanki miała być „młoda osoba, która udawała podstępnie przyjaźń dla szambelanowej.“

Tą młodą osóbką jest znana nam już Cichočka. (Masson nazywa ją Abramowiczową, którą była 2-do voto).

Wiele słuszności ma w swych pamiętnikach p. Trembicka, gdy przypisuje niemały wpływ na decyzję p. Walewskiej braciom jej, a szczególnie Józefowi. Trusia z Walewic strachała się bardzo swych krzykliwych braci, i jeśli kto, to oni mogli wyrzucić presję na upartą siostrzyczkę. Pani Potocka oznaczyła nawet wysokość nagrody: Łączyński za tę usługę mianowany został z porucznika podpułkownikiem. Otóż tak nie było. Stan służby pułkownika Łączyńskiego wykazuje, że porucznikiem mianowany był w czasach kościuszkowskich, w samym roku 1794-tym, szlify kapitańskie uzyskał w legjonach, a w chwili tworzenia armji Ks. Warszawskiego objął szefostwo bataljonu, 5. lutego 1807 zostaje posunięty na stopień majora, który mógł

ostatecznie osiągnąć i bez afery p. Walewskiej.

Na ostatek wmieszali się w sprawę najniepotrzebniej ludzie czcigodni i wielcy. Utrzymuje się wersja, że sędziwy Arystydes polski, marszałek Małachowski, miał jakoby podjąć się niezbyt subtelnej, *tout court* obrzydliwej roli swata i zaklinał szambelanową w imieniu Sprawy, wyjaśniając mało wiedzącej, co może zdziałać w tej chwili Napoleon dla narodu. Opowieść o kroku Arystydesa jest zapewne nieprawdziwa. Natomiast znamy inny dokument, który też trudno nazwać sympatycznym. Jest to zbiorowy list „septarków“, czyli członków Komisji Rządzącej, do której zresztą należał i Małachowski. Nie wiemy dokładnie, kto ową epistolę podpisał i wogóle z czyjej ręki wyszła. Masson, który wydobył dokument niezawodnie ze spuścizny po p. Walewskiej, powiada ogólnikowo, iż pismo było *écrite et signée par les personages les plus considérables de la nation, les membres mêmes du gouvernement provisoire*. Członkowie Komisji Rządzącej, zwani „braćmi

śpiącymi,“ uznawali za stosowne przesłać na ręce drżącej szambelanowej za pośrednictwem owej p. Cichockiej wiązaną pompatycznych, zgoła niezgrabnych frazesów. List, pisany po francusku, brzmiał:

„Pani! Małe przyczyny sprowadzają często „wielkie skutki. Kobiety zawsze wywierały „wielki wpływ na politykę świata. Historia „od czasów zamierzchłych aż do nowożytnych potwierdza ową prawdę. Dopóki namiętności rządzić będą ludźmi, dopóty wy, „o kobiety, dzierżyć będziecie w sobie władzę „straszliwą. . . Czy pani sądzi, że Estera oddała się Asswerusowi z uczucia miłości? Czyż „strach, jaki on w niej budził, gdy padła zemdlna pod grozą jego spojrzenia — nie „dowodzi, iż uczucie obcem było temu związkowi? Estera poświęciła się dla zbawienia „narodu i uzyskała sławę wybawicielki. Obyśmy to samo mogli powiedzieć o twojej sławie, Pani, o naszym szczęściu! Czyż nie „jesteś, o Pani, córką, matką, siostrą i małżonką gorliwych patriotów polskich? Pamiętaj o tem, co powiedział pewien sławny

„człowiek, święty i pobożny kapłan, Fenelon:
 „Ludzie dzierżący władzę nie mogą postanowieniami swemi wyrzucić zamierzonego skutku, jeżeli kobiety nie pomogą im!“
 „słuchaj, o Pani, tego głosu, abyś potem mogła cieszyć się radością dwudziestu milionów ludzi.“

Owa piękna odezwa patriotyczna nie raziła ludzi współczesnych, tak, jak nas dziś razi. Wszak nasłuchali się tyle i sami napatrzyli na przepotężną rolę kobiet w polityce XVIII wieku! Nawa Francji w okresie Ludwików sterowana była rączką kobiecą, a w Polsce któż rządził królem i ambasadorami? Dlatego Wybicki i towarzysze namawiają przerażoną mężateczkę do spełnienia świętego obowiązku.

Pani Walewska wahała się dalej. Wszelakie perswazyje nie zdołały w jej przekonaniu zmienić faktu: Była żoną innego. Nawet głos jej serca, nawet argument o Sprawie. Bo któż zaręczy, że jej ofiara przyda się na co?

Równocześnie pisał cesarz: „Nie widziałem nikogo, prócz Ciebie, nie podziwiam ni-

kogo, tylko Ciebie, nie pragnę nikogo, tylko Ciebie“...

Teraz dopiero załamała się w pryncypjach zaściankowych. Głos imperatora, tęsknota mężczyzny zaczęła działać na kobietę, która nie zaznała jeszcze szczęścia w życiu.

A wtedy bóg wojny uczynił posunięcie, przed którem wzdrygało się może uczucie miłości, jakie już odczuwał dla złotowłosej Polki. Rzucił na szalę kłamstwo. Błysnął obietnicą, o której wiedział, że spełnić jej nie jest w stanie. Ze złością i upokorzeniem musiał kłaść na szorstki papier owe dwa ostatnie zdania w liście z 12. stycznia: „Przyjdź, o przyjdź! Wszystkie twe żądania będą spełnione. Ojczyzna Twoja będzie mi droższą, gdy znajdziesz litość dla mego biednego serca!“...

Te słowa przeważyły szalę. O wszystkim, co nastąpiło, opowie ciekawym szczegółowo usłużny Constant, bo był obecny, i historyk Masson, bo czytał wiele listów i wspomnień. Plotkarki warszawskie będą i teraz zgorzzone ubolewać, że szambelanowa „bronila się

równie słabo, jak forteca w Ulm.“ Nie umiały zrozumieć łez szambelanowej (bo pocóż płakać w takich razach?), nie były zdolne pojąć dramatu jej serca, przed którym ukorzył się nawet Constant, nie potrafiły objąć ogromu jej szczęścia.

Uśmiech tego szczęścia drży do dziś między literami listów Napoleona. Promienieją prostą radością człowieka, który kocha i jest kochany. Po raz pierwszy i ostatni w życiu. O tem zapewniają nas również wszyscy najbliżsi ludzie Napoleona, patrzący na Walewską z uczuciem dziwnem. Żywią głęboką wdzięczność za to, że przyniosła miłość Imperatorowi.

— *C'était madame Lavallière de l'empire* — tak mówią, chyląc głowy.

— *Un ange!* — dodaje cesarz w rozmowie z Lucjanem Bonaparte. — *On peut dire, que son âme était aussi belle, que sa figure.*

— Tylko o tej kobiecie mogę powiedzieć, że posiadała miłość cesarza — rzekł po latach Talleyrand do pani Trembickiej.

Nareszcie i zazdrosną kreolkę z Martyniki

*** PANI WALEWSKA ***

doszły wieści o wszystkim. Zauważyła w rozmowie z jedną ze swych dam dworu:

— Wdzięki tej Polki niepokoją mnie. Lecz pewna jestem, że uda mi się zapobiec niebezpieczeństwu.

Do cichego ogródka najpiękniejszej sielanki empiru wtoczyła się teraz ciżba ludzi w ogromnych szwoleżerskich butach z ostrogami. I zazierają brutalnie w niezabudkowe oczy, jeszcze pełne łez. I błagają o jej uśmiech, uśmiech pani Walewskiej, która ma wpływ na cesarza!... Najpierw Komisja Rządząca oczekuje niecierpliwie rychłego już zjawienia Polski, damy z pod Blachy zapewniają o najczulszych sentymentach, potem brat, oh ten brat, a wreszcie każda najmniejsza drobina z kosmosu napoleońskiego żebrze protekcji.

Zapłakana trusia mało jeszcze rozumie z tego wszystkiego. Może nawet nie przeczuwa, jak słodką władzę mogła odrazu ująć, jeśli nie nad cesarzem, to nad całym dworem, jak misterne przedziwo intrygi mogło się wic pod jej białymi rączkami!... Lecz cóż? Jesliby nawet chciała czynić intrygi dla dobra

Sprawy, nie wie przecież jak, ona, nie umiejąca nawet okłamać zgrzybiałego męża. Coś tam za nią robiono, coś obmyślano, nawet listy pisano w jej imieniu do cesarza.

— *Ecrivez-moi, comme vous voudrez, mais je ne veux pas de tiers dans mes relations avec vous.* Nie chcę, byś pisywała do mnie pod dyktandem — miał raz słusznie zauważyć Napoleon.

Życie zaczynało udzielać lekcyj szambelancej, która jeszcze tak niedawno nosiła białą sukienkę. Ani nie umiała się cofnąć z raz obranej drogi, ani nie wiedziała, jak tą drogą postępować. Kuzynki raz jeszcze mogły zauważyć, że się dotąd niczego od nich nie nauczyła.

Z końcem stycznia Napoleon opuścił Warszawę, *la douce Marie* została sama na uwieży szydliwych spojrzeń. Zaczem, gdy wkrótce złocisty goniec z nowej kwatery w Finkenstajnie przywiezie list od cesarza, a w liście błagalną prośbę o przyjazd, p. Walewska rozprawi się łatwo ze skrupułami i wyjedzie. W towarzystwie brata, który równocześnie

otrzymuje nowy przydział jako *adjudant-commendant* w sztabie ks. Neufchâtel.

W Finkenstajnie było cicho i odludnie. Sielanka, którą zachmurzyły zle oczy plotki warszawskiej, rozjaśniła się znowu. Pani Walewska widywała tylko dwie osoby, cesarza i jego kamerdynera. „Jadali zazwyczaj razem — notuje Constant — sam podawałem do stołu i byłem świadkiem rozmowy obojga, żywej i podnieconej ze strony Napoleona, tęsknej i melancholijnej ze strony pani“. O przyjemnościach pobytu w Finkenstajnie dowiadywała się też z listów małżonka cesarzowa. Nie o wszystkich naturalnie: „Przeniosłem kwaterę moją do przepięknego zamku, gdzie jest bardzo wiele kominków. Lubię bardzo wstawać w nocy i patrzeć w ogień. To jest szalenie przyjemne!...“ A potem nauka moralna: „Nie bądź kapryśną i zazdrosną, bo to nieładnie.“ Pani Walewska nie opuszcza komnat starego zamku. Czyta wiele, a raczej ogląda wiele obrazków, lub też przypatruje się z poza zazdrostki musztrum gwardji na dziedzińcu i słyszy twar-

dy głos imperatorskiej komendy. Cesarz Francuzów był teraz najszczęśliwszym z ludzi. O takiej miłości i o takiej kobiecie marzył całe życie.

W tym czasie orzeł Bonapartego dolatywał szczytów. Historja miała dopuścić go na wyżyny, których przed nim sięgnął tylko jeden człowiek, Aleksander Wielki.

Zdyszane cyfry sławy ścigały się w szalonym pędzie.

Po krwawej Ilawie nastąpił Gdańsk, Frydland i Tylża, przedarcie karty Europy.

W dniu 27. czerwca Paryż kłęczał przed wjeżdżającym w bramy miasta rydwanem zwycięzcy.

Wozy, działa, saktasze i czapraki armji błyszczwały złocistą literą *N*, w otoku glorii wyciśniętą. Branka jasnowłosa z Walewic, którą wiódł z sobą triumfator, miała ją także wyciśniętą na swej duszy.

Po trzech tygodniach Finkenstajnu przebyła miesiąc w Paryżu. Przedtem wróciła do Warszawy, by zlikwidować ostatecznie sprawę małżeńską i popatrzeć z uśmiechem w oczy

tych wszystkich ludzi, którzy ją przedtem widzieli płaczącą.

Nieoceniony Duroc postarał się w Paryżu o wszystko; o sekret przed Józefiną, o pałacyk ustronny przy rue de la Victoire nr. 48 i rzeczy potrzebne. Utrzymywał także tajemną służbę łączności z Tujlerjami. Szeroko otwierając niezabudkowe oczy, dziwowała się Marysia Łączyńska stolicy świata. Legenda mówi, że gdy po raz pierwszy wychodziła z galerji w Luwrze, żołnierz, stojący na warcie, zastąpił jej drogę, wołając, iż nie może wypuścić z muzeum Wenery z Milo. Słyszeliście tę anegdotę już dawniej o ks. marszałkowej Lubomirskiej, i potem o Karolinie Starzeńskiej. Nie szkodzi! Paryżanie są grzeczni i ofiarują ją każdej pięknej kobiecie z zagranicy.

Pozatem najgęstsza woalka tajemnicy. Talleyrand zapewniał p. Trembicką, że istniało tajemne przejście z apartamentów p. Marji do entresolu cesarskiego, i nikt nie wiedział o pobycie szambelanowej z Walewic w Paryżu. Z wyjątkiem jednego człowieka, który

zresztą miał z tem wiele kłopotu. Pan Leroy, pierwszy krawiec empiru, prawodawca napoleońskich mód. Milczał jak grób, lecz dla porządku pisał w swych księgach: *La comtesse Vareska* zamówiła płaszcz *à la Jean de Paris* niebieski z przodem czerwonym. *La comtesse Vareska* zamówiła peniuar z białej lewantyny z falbanami, ozdobiony blondyną, plisowany jedwabiem, z bufami tiulowemi u rękawów. Cena: 337 franków! Najdroższy peniuar, jaki wyszedł z pracowni pana Leroy. Szambelanowa musiała mu powiedzieć, że lubi kolor niebieski i że w toczkach warszawskich ubiegłego sezonu było jej bardzo do twarzy. Leroy skłonił się i wydał rozkazy. W tej chwili modnemi stały się w Paryżu tylko *toques à la Varsovie*, budki z atlasu, biało-złote z wiszącymi guzikami i frendzlami. Marysia Łączyńska zaczynała odczuwać urodę życia. Z jej wszystkich nauczycieli Leroy miał, zdaje się, największe powodzenie. Teraz dopiero wzięła zupełny już rozbrat z lawendą i tęsknotami za-ścianka.

*** ZERWANA KOKARDA ***

Zaś Bonaparte w tym czasie coraz dokładniej Polskę poznawał. Nawet piosenki polskie śpiewać próbował. Któryś z generałów polskich, jadąc z nim samowtór kareta, zadziwi się niezmiernie, gdy cesarz w powozie zacznie nucić łamaną polszczyzną:
Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała Niemca...

Ponieważ Księstwo Warszawskie przymierało z głodu i braku gotówki, dlatego karnawał roku 1808-go należał do najhuczniejszych. Dukat stał się teraz w Polsce rzadkością, dlatego pani Tyszkiewiczowa urządziła pod Blachą fetę kosztem 4000 dukatów. Na salonach pojawiło się przytem kilka pań nowych, ogólnie podziwianych, ogromnie *en vogue*. Wśród nich, a raczej na ich czele — pani Walewska. Nie poznawano jej poprostu. „Wyrobiła się nadzwyczajnie w czasie swego pobytu we Francji i nabrała skromnej pewności siebie“ — tak zauważy później p. Potocka, zaś ks. Marja Wirtemberska pisze w liście do matki: „Panie Anastazowa Walewska i Żółkiewska są teraz za najpiękniejsze poczytane przez modę.“ Naturalnie, czyż mogło być inaczej. Jak przedtem nie widziano jej na żadnem *soirée*, tak teraz niema żadnego wieczoru bez

niej. Więc najpierw przesławny bal bukietowy u pani Bronikowskiej. I ów barwny kontredans, o którym będzie przez cały rok głośno. Cztery damy *en arabes*, cztery inne *en morlaques*, cztery wreszcie *en femmes de Bagdad*. Te ostatnie w turbanach seledynowych z diamentami i w seledynowych srebrem obszytych tunikach. Same przyjaciółki: Marja i Adamowa Walewskie, zawsze oddana Cichočka i Dzierzanowska.

W poście drugi słynny wieczór, siurpryza dla ks. Marji Wirtemberskiej, w dniu urodzin. Najpierw jakaś sztuczka wesola, potem scena mimiczna: Eneasz prosi Sybillę, by wywołała cień jego ojca z Elizjum. Sybilla usypia go i ukazuje we śnie pola elizejskie. Z głębi sceny wylania się dwanaście cieniów niewieścich, otaczają błędnego rycerza, potrząsają wieńcami z białych róż. Jednym z cieniów jest p. Walewska. Z „Małwiny“ wiemy, że najmodniejszą, pierwszy raz w tym czasie wprowadzoną rozrywką socjety, była kwesta wielkanocna. Ks. Wirtemberska opisuje ją w swej świetnej powieści z własnych

przeżyć, gdyż w roku 1809-ym kwestowała na Lesznie i Starem Mieście. Zebrała 550 dukatów. Równocześnie obie panie Walewskie chodziły z puszką po Nowym Świecie. Zebrały 300 dukatów. Kwesta odbywała się w sposób przyjemny, albowiem co najprzedniejsi kawalerowie polscy i napoleońscy słodzili rozmową utrudzenie dam.

Lecz myśl kwestarki biegła daleko, bardzo daleko poza roгатki Warszawy. Cesarz zdobywał w tym czasie Hiszpanję. Rok 1809-ty, czas Saragosa, Wagramu i Raszyna, ma w dziejach tysiąc tytułów, dla p. Walewskiej był przedewszystkiem rokiem tęsknoty. Całą treść jej cichutkiej duszy stanowiły już wtedy słowa, któremi później wzruszy Constant'a: *Toutes mes pensées, toutes mes inspirations, viennent de lui et retournent à lui: il est tout mon bien, mon avenir, ma vie!*

Za szambelanową powtarza już te słowa cała Polska. I kocha cesarza za spełniający się dzięki niemu cud wolności. Jest Księstwo, armja i skarb. W społeczności entuzjazm. Blacha poszła do ułanów. Nawet na widok

pocziwego króla saskiego ludzie płaczą. „Nie wystawisz sobie, moje dziecko — pisze jakaś matka do syna — mego wzruszenia na otwarciu senatu, w tej pamiętnej sali Wielkiego sejmku. Padnij-że na kolana i Bogu podziękuj.“

Szambelanowa z Walewic myślała sobie pocichu, że przydało się na coś to, co się jej dawniej wydawało ofiarą...

Wracając z krwawej, hiszpańskiej potrzeby, spieszył Napoleon nietylko w zamiarze zrobienia porządku w Europie, którą mu chcieli odebrać Austriacy, lecz także był błędnym rycerzem, pędzącym na odsiecz bogdance. Księżniczkę więził smok, gorszy od starego męża: pani Walewska przebywała w Warszawie przez cały czas okupacji austriackiej, od kwietnia do czerwca. Natychmiast po uwolnieniu wyjechała, „pod pozorem potrzeby wód badeńskich“ (Niemcewicz), by po roku tęsknoty ujrzeć znowu Zwycięzcę, scałować mu z czoła jego nową glorię i wyznać szeptem nowinę, której nigdy nie usłyszał od Jej ces. mości Józefiny Beauharnais.

Ostatni wielki rozbłysk chwały Bonapartego, ostatni jasny uśmiech ich miłości, Schönbrunn. *Je pense qu'en allemand „Schönbrunn“ signifie belle fontaine. La source de son parc produit une eau délicieuse dont je bois tous les matins.* To samo, co było w Paryżu i jeszcze więcej. Willa osobna opodal pałacu, powóz, którym codziennie jeździ po nią Constant bez liberji, *sans armoires* i rozczulająca troska cesarza przez trzy miesiące. Na owych, czerwonym piaskiem wysypanych, ścieżkach parku, po których niegdyś biegała Marja Antonina, a wkrótce będzie biegać orlątko — nie ujrzyć damy w niebieskim redingocie. Tem łatwiej natomiast spotkać można w Wiedniu. Widują ją generałowie polscy, Szymanowski, Chłapowski, Żółski, lecz mówić o tem nie wolno. Tajemnica służbowa! Tylko Tomasz Łubieński pisze do żony 31. lipca 1809: „Przedwczoraj w teatrze poszedłem do łoży p. Witte, zastałem Anastazową Walewską, która opowiadała mi o Warszawie, skąd wyjechała dopiero po wyjściu Austrjaków.“ W towarzystwie Wit-

te'ów i Krasieńskich pojawia się szambelanowa najczęściej. Ów Witt to słynny syn Zofji Greczynki, który po różnych transformacjach życiowych próbuje teraz szczęścia u Napoleona.

Praca nad odbudowaniem Polski za sprawą p. Walewskiej nie ustaje. Deputaci z Księstwa, usłyszawszy od Napoleona, że „robi się tylko tyle, ile można,“ że „Polacy są dzielni, ale kapryśni i nieobliczalni“ — odbywają potem konferencję z p. Walewską. Odnoszą wrażenie dodatnie. Matuszewicz zaraz po powrocie snąć mówi o tem z Niemcewiczem, bo ten notuje w swym dzienniku: „Pani W... jest osobą nawet w słabości szacowną, nie chce przyjmować darów i najwyższych, ofiarowanych sobie korzyści, tylko, żeby Polskę przywrócił.“

Traktatem Schönbruńskim z 14. października 1809 przyłączono do Księstwa Kraków, Sandomierz, Lublin i Zamość. Napoleon uważał, że to powinno szalenie ująć Polaków. Miał wtedy powiedzieć do Walewskiej:

— *Eh bien, vous avez la nouvelle Gallicie? ...*

Odpowiedziała, wydawszy usteczka:

— *Fi donc, rien que cela!*

Wśród wszystkich, zmyślonych przez powieściopisarzy rozmów szambelanowej z cesarzem o Polsce, ta jedna, zdaje się, jest prawdziwa. Marysia Łączyńska odpowiedziała dobrze, „bracia śpiący“ mogli być z niej zadowoleni.

Z jednego tylko powodu tęskni się w Schönbrunie do zacisza Finkenstajnu. Oto ogromna ilość oficerów polskich, żądnych kariery, nagabuje ją o protekcję i próbuje snuć intrygi za sprawą rodaczki. Tomasz Łubieński pisał w liście do żony z 23. sierpnia 1809: „Nie wspominałem ci też o intrygach tutejszych, bo są małoznaczne. Robią je najwięcej przez Anastazową Walewską, chcieli i mnie do nich wciągnąć, ale szczęściem nie wmieszałem się wcale.“ Ten sam Łubieński zaświadcza, że szambelanowa wróciła w połowie września wraz z Witte’ami do Polski. Rozstawiała się z cesarzem na długie i ciężkie w samotności miesiące. Imperator powrócił do Paryża, gdzie kazał zamurować drzwi,

łącznie jego apartamenta z pokojami Józefiny, i również w samotności cieszył się pełnią władzy nad Europą, oraz nadzieją bliskich zaślubin z Marją Luizą. Pani Walewska rozumiała dobrze, że miłość dla niej ułatwiła cesarzowi rozwód z Józefiną, lecz, że mu wcale nie utrudni małżeństwa z Austriaczką. Pod urokiem słodkiej Marji osłabły w Bonapartym uczucia dla więdnącej Józefiny, ale nie zdołała się zachwiać racja stanu. Odjeżdżając wśród nowych łez, wręczyła cesarzowi pamiątkę rzewną, złoty pierścionek, opleciony jej blond włosami z napisem: *Quand tu cesseras de m'aimer, n'oublie pas que je t'aime*. Gdy już przestaniesz mnie kochać . . .

Wróciła do Walewic, by znaleźć spokój potrzebny dla jej zdrowia. Jakiem okiem patrzył na nią teraz stareńki potomek patrycjuszów rzymskich, nie wiemy. W dniu 4. maja, — w parę tygodni potem, gdy Napoleon w sposób przedziwnie raptowny poślubił Luizę w Compiègne — szambelanowa powiła w Walewicach syna. Sąsiad pana

*** PANI WALEWSKA ***

Anastazego, imię Ksawery Warszycki notuje w swym pamiętniku, jako wpośród innych gości przybył do Walewic rezydent dworu francuskiego z Warszawy, aby *ex offio* asystować przy uroczystych chrzcinach.

Pani Walewska nie była nieszczęśliwą. Syn rozbudził w niej nowe radości życia i nowe ognie miłości dla Napoleona, który i teraz, więcej jeszcze, niż dawniej, był jej „jedynem dobrem, jej przyszłością, jej życiem.“

Już teraz kochała go inaczej i za wszelką cenę: chociażby nawet nie przywrócił Polski, chociażby nawet nie był cesarzem Francuzów...

Mówią, że gwiazda Napoleona zaczyna już tracić blask; dla innych może, lecz nie dla Marji Łączyńskiej. Wróciła do Paryża z dzieckiem, bratem i panną służącą. Już nie skrywa swych uczuć, ani się wstydzi wyjątkowej pozycji. Zostawiła w Walewicach skrupuły i trwożliwość, zdobyła *façon d'être* na wielkim świecie, pierwsza dziś wśród dostojnych dam empiru. Mieszka najpierw przy ulicy du Houssaie, potem w pałacu, który zajmowała dawniej. Codzień łoża w teatrze, codzień wizyta lekarza Corvisart'a i krawca Leroy i marszałka Duroc'a. A najważniejsze: codzień list cesarza. Spełnianie jej zachceń jest jedyną funkcją urzędową marszałka. Gdy zachceń nowych brak, to je marszałek wymyśla, bo rad z tej lekkiej służby. Chytry pan Leroy umie doskonale dobierać kostjumy, poznał gust pani i miłość

do szmatek, więc coraz nowe zamówienia wciąga do swych ksiąg: *La comtesse Vareska* zamówiła fartuszek z tafty lila w zielone paski, garnirowany riuszami z krepy (18 fr.), potem tunikę z tiulu, z aplikacją i listkami róży (310 fr.), potem kostjum polski z aksamitu amarantowego ze złotymi wyszyciami i obszyciem futrzanem (297 fr.), nareszcie maskę balową (6 fr.). Trudno, by na pokrycie tych zbytków wystarczyła renta 10 000 franków, którą co miesiąc przynosi Duroc. Marysia Łączyńska stała się dziecinnie rozrzutną. Z tego powodu, z powodu tych rachunków krawieckich, historycy Turquan i Fleischman aż pobledli z irytacji, i mówią z patosem: „nawet oplakane stosunki skarbu francuskiego nie umniejszyły wydatków lekkomyślnej Polki. Widocznie nie była ona bezinteresowną.“ Zarzuty te są zbyt srogie. Raczej winić trzeba sprytnego przekupnia oraz wybredność cesarza, który zawsze żądał od wszystkich kobiet wytwornych ubiorów. W każdym razie nie sposób wymagać, aby paryskie wydatki pani szam-

belanowej pokrywał — ekonom w Walewicach.

Lecz cóż po tunikach najwspanialszych, skoro cesarza widuje się teraz tak rzadko. Wszystek czas wolny poświęca Napoleon kaprysom Austrjaczki, ciągle z nią kędyś podróżuje, ciągle gdzieś na nią czeka, bijąc szpicrutą o piasek. Marja Luiza wie załedwie o istnieniu pięknej szambelanowej, ale nie wie dotąd niczego więcej i nie wolno, aby wiedziała. Rzadko tylko bywa cesarz w pałacu przy rue de la Victoire, a jeśli nie może, wówczas Constant prowadzi szambelanową z synkiem czarnemi schodkami, *par l'escalier noir*, do gabinetu. „Było to — powiada — wielką dla cesarza radością oglądać to dziecko, tak dziwnie do ojca podobne. Brał je w ramiona, mówił mu: *Je te fais comte*, potem ścisnął matkę i syna.“ Aleksander Walewski otrzyma wkrótce majorat we Włoszech z rentą roczną 169.516 franków, czem znowu zirytuje swoich przyszłych historyków.

Fryderyk Skarbek, który dzieckiem pamiętał Marysię w domu rodzicielskim, bywa

teraz często u wielkiej damy. „W owym czasie — powiada — miała ona wielkie znaczenie, mogła być dumą wynosić się nad ziomkami swymi, lub intrygami wyrobić sobie polityczne stanowisko, ale taka dążność nie zgadzała się, ani z jej skromnością, ani z dobrocią serca. Czyniła dobrze, komu tylko mogła, nikomu nie szkodząc, dlatego też powszechnie lubioną i kochaną była.“

Ilekcroć może, zjeżdża światowa dama do Warszawy, bo lubi błyszczeć. Tak było i w karnawale roku 1811. Pan Leroy upakował na drogę toalety, jakich nawet pod Blachą nie widziano. Ks. Wirtemberska znalazła szambelanową po powrocie „bardzo świeżą, choć nie tak piękną, jak dawniej.“ Warszawa spieszy oglądać ją codzień popołudniu do Lessla. Zwykła siadywać tam w owej licznie uczęszczanej altance, pije zazwyczaj czekoladę i budzi zachwyty ślicznotą buzi.

Tymczasem w Paryżu dwadzieścia dwa wystrzałów armatnich obwieszczało światu narodziny króla rzymskiego, a na bulwarach śpiewano o „małym kapralatku“:

*... Y allons boire à la santé
Du Fanfan, l'espoir d'la France
Et chantons à l'unisson
Vive Louise et Napoléon!*

Pani Walewska, matka syna Bonapartego, straciła nimb wyższości, jaki dotąd miała nad obiema cesarzowemi. Przestała się ludzić, aby on ją mógł teraz tak kochać, jak dawniej, i dlatego kochała go jeszcze więcej. Żyje zawsze w nieodłącznem towarzystwie swych obu bratowych i p. Bierzyńskiej. Wyjeżdżają do Spaa i Mons-sur-orge, mają willę na lato między Paryżem a St. Cloud, w Boulogne nad Sekwaną. „Chodziłem tam latem, jako jej z dzieciennych lat znajomy — pisze Fryderyk Skarbek — czasem na dzień cały. Tam nieraz kołysałem i woziłem w wózku po ogrodzie jako niemowlę, owego hrabiego Walewskiego.“

Podróżuje dużo. Szmatki kocha zawsze. Stąd niemiła przygoda. Razu pewnego pani Walewska z Jabłonowską chciały wedle opowiadania Łubieńskiego, przejechać przez Ant-

werpję. Niepoprawna strojnisia wzięła z sobą w drogę całe kufry sukien, razem sztuk około 150. I cóż się stało? Celnicy w Antwerpji uważają, że dama musi być zapewne modystką, bo trudno przypuścić, by wszystkie 150 toalet służyło do jej osobistego użytku. Na ogromny bagaż nałożono odpowiednie cło. Rada nie rada musiała szambelanowa wrócić do domu i zrezygnować z podróży przez Antwerpję.

Rok 1812-ty...

Cały kosmos napoleoński uwikłał się w walkę ciężką i ostateczną, legenda blednie, wszyscy ludzie z pod znaku *N* poszli na Moskwę. Złotowłosa branka, na której sercu miłość wycisnęła zlocistą literę — miota się w niepokoju w Walewicach. Bo stąd myślom bliżej do Smoleńska. Ludzie są często nietaktowni. Np. osławiony arcybiskup Pradt, poseł francuski w Warszawie, prosząc często szambelanową na obiady, oddaje jej przytem honory należne osobom panującym. Marysia Łączyńska byłaby się ongi pod ziemię schowała ze wstydu, szambe-

lanowa przyjmuje to ze smutnym uśmiechem. Okutany w baranicę muzyka wracał cudowny heros na chłopskich saniach z Moskwy do Paryża. Pułkownik Wąsowicz, ten, co mu wtedy życie uratował, opowiada, że Napoleon chciał koniecznie wstąpić do Walewic. Dopiero stanowcze perswazje otoczenia, że chwila nie jest po temu, odwiodły go od tego zamiaru.

Człowiek współczesny p. Gley (*Voyage en Allemagne et en Pologne, Paris. 1816*) zapisuje ciekawą rozmowę, jaką, odpoczywający gdzieś już na Mazowszu, cesarz wiódł w dworze polskim z jakąś damą, do której wstąpił dla ogrzania się.

— Co robi stary pan Walewski? — zapytał.

— Mieszka dalej, niedaleko stąd w swym majątku. Dobry ten człowiek tonął w długach, lecz laskawość, jaką W. Ces. Mość okazał jego małżonce poprawiły mu humor.

— A pani... cóż pani porabia?

— Pani Walewska spędziła lato w Warszawie, wśród troski i ciągłego niepokoju.

Ilekróć przybył kurjer z Moskwy, biegła nieustannie z pałacu Potockich do ambasady francuskiej i zpowrotem, szukając zawsze ludzi, od których można było czegoś się dowiedzieć. Na wszelkie sposoby starała się, aby dostać pozwolenie na wyjazd do Moskwy. Z dziwną złośliwością odmówiono jej tego. Teraz wszelako widać, że stało się dobrze.

Na to Napoleon:

— To tak zawsze u Polek, które nie oglądają się na nic, kiedy je porwie fantazja. Dlatego bałem się, że pani Walewska uczyni tak, jak inne warjatki, które pojechały szukać swych mężów w tym przekętym kraju rosyjskim. Słyszeliście np. o pani D...? Rozczochrana, wynędzniała przybyła do Wilna i wpadła w ręce Kozaków. To samo mogło spotkać hrabinę Walewską, gdybym był jej próśb posłuchał... A cóż dzieci?

— Rosną, Sire. Starszy syn podobny bardzo do pana Walewskiego.“

Nie ujrawszy szambelanowej, popędził Napoleon w dalszą drogę. W dwa tygodnie

później w sam dzień Nowego Roku 1813-go ona podążyła śladem sanek najdroższych do Paryża.

Jakoby w przeczuciu bliskiego kresu złotej bajki smutna pani chce jeszcze użyć wszystkich pogardzanych dotąd splendorów. Postanowiła bywać oficjalnie u dworu. Podziwiano ją np. na wielkiej styczniowej recepcji w Tujlerjach. Leroy obmyślił na ten wieczór suknię z tiulu białego w centki na jedwabiu, ubraną ogromnemi girlandami bzu. Od niejakiego czasu nowy dom przybył jej w Paryżu: generałowej Krasińskiej, która tu mieszka i przyjmuje. Gdy wkrótce p. Wincentowa wyda na świat syna, Walewska będzie go trzymać do chrztu, nie przeczuwając, że jest chrzestną matką wieszczka narodu — Zygmunta Krasińskiego! Jej chrześniak będzie też kochać cesarza.

W ostatni dzień roku 1813 sprzymierzeni przeszli Ren. Pioruny, któremi Napoleon uderzał w historję, skierowano teraz przeciw niemu. Wątpiąc już we wszystko, zdaje regencję Marji Ludwice i wyjeżdża w styczniu

do armji. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. *Ce qui m'intéresse, c'est surtout l'enfant, et la mère après* pisze do swego podskarbiego, by zapewnić los małego Walewskiego. Miłość, rozkwitła w słońcu chwały, więdnie wraz z jej zmierzchem. Nie bacząc na to, biegnie dalej p. Walewska za imperatorem w najgorszą dolę. Wie już, że szukał śmierci na polu bitwy, słyszała, że opuszczony przez wszystkich dożywa końca swej sławy w amfiladzie komnat pałacu Fontainebleau. I postanawia ujrzeć go za wszelką cenę.

Rozegrała się scena przedziwnie smutna dla obojga. „Gdy pani Walewska przybyła „o godzinie 10-tej — brzmi ostatni już za- „piszek kamerdynera — wszedłem do gabi- „netu, by uwiadomić o tem cesarza. Leżał „na łóżku, utopiony w myślach. Nie odpo- „wiedział ani słowa. Dopiero po drugim „odezwaniu się mojem mruknął: Poproś, by „zaczekała! Siedziała więc w przyległym ga- „biniecie, ja zaś dotrzymywałem jej towa- „rzystwa. Godziny ciągnęły się w nieskoń- „czoność. Czekala ciągle. Aż przykro było

„patrzeć na jej głęboki, cichy ból. Poszedłem
 „po raz drugi. Cesarz nie spał. Ale tak bar-
 „dzo pograżył się w dumaniu, że znowu nic
 „nie odpowiedział. Nareszcie, gdy dzień się
 „zrobił, p. W... opuściła pałac, z obawy, by
 „jej nie zobaczono. Po jakiejś godzinie ce-
 „sarz wychodzi i chce ją prosić. Opowiadam
 „mu wszystko, niczego nie ukrywając. Na-
 „poleon wzruszył się do głębi: „Biedna ko-
 „bieta! Jak ona musiała to odczuć. Con-
 „stant, to mi jest bardzo przykre! Gdy ją
 „tylko zobaczysz, wytłumacz mnie. Bo prze-
 „cież ja mam tyle... tyle kłopotów.“ Rzu-
 „ciwszy te słowa niemal ze złością, począł
 „gwałtownie trzeć ręką czoło.“

Potem, czego już Constant nie wie, na-
 pisał cesarz list, ostatni, zdaje się, list do Wa-
 lewskiej. Trudno się zaiste dziwić tonowi
 i zdenerwowaniu liter. Nie stawiał ich już
 cesarz Francuzów, lecz człowiek, którego za
 parę dni zwać będą *monsieur de l'île d'Elbe*.

Wiadomo z powieści, że znalazła drogę
 i okręt do Elby, lecz nikt nie pojmie, ile
 trudności trzeba było zwalczyć przedtem.

Podziwiają ludzie jej boleść, jak przedtem gapili się na toalety. Miesiące całe czeka w Neapolu sposobności, by dotrzeć na Elbę, do półrozwalonego domku w Marcianie. General Łączyński jest z cesarzem na Elbie, więc rzecz ułatwia. Wzięła siostrę z sobą, syna odziała w kontusik. Lucjan Bonaparte i komisarz Campbell opowiadają ze wzruszeniem, jak to wygnaniec odstąpił paniom swą ciasną kwaterę, a sam nocował w namiocie. Wierny mameluk Napoleona, słynny Ali (zresztą Francuz) wspomina w pamiętnikach o tej wizycie, która trwała dwanaście dni. Została mu pani Walewska we wspomnieniu jako przepiękna, nieco rumiana i nieco przytyła, ale zawsze o ślicznej twarzy, oczach i *châtain-clair* włosach wytworna dama. Trzeciego września wyjechała i zostaje w Neapolu do marca. Naco czeka? Niechybnie wiedziała o tem, co nastąpi.

W pierwszy dzień marca 1815, więzień uciekł z Elby, w dwa tygodnie później stanął w Tujlerjach. Miałaby nie podążyć za nim tak, jak już tyle razy przedtem? Vetturiny

królestwa Neapolu, wlokąc się krokiem zółwia, wiozą kurjerkę Murata, która niecierpliwi się bardzo. Nie o nią przecież chodzi, lecz o ważne zlecenia! Wzięła je od niedobrego króla, aby tem łatwiej dotrzeć do Paryża. Na oficjalnej audjencji w pałacu Elizejskim przyjął studniowy władca szczególnego gońca z Neapolu.

Widują teraz w Paryżu panią Walewską często. Bywa często u eks-cesarzowej Józefiny, przyjaźni się z głośną p. de Staël. Księżna Reggio spotkała raz obie panie na schodach, wychodzące od nieszczęsnej rozwódki po eks-cesarzu. Panna d'Avrillon, pierwsza dama dworu eks-cesarzowej, zapisuje w swych pamiętnikach: „Do pani Walewskiej odnosiła się cesarzowa z wielką życzliwością. Podnosiła nieraz jej wyjątkowe zalety, przyznając, że ta dobra kobieta nie była nigdy przyczyną jej zmartwień. Czyniła tedy nieraz podarki pani szambelanowej, oraz obdarowywała dziecko, które tak bardzo z rysów przypominało cesarza!“



potem nic już o nich obojgu nie wiemy. Być może nie widzieli się nigdy więcej. Towarzysze wygnania opowiadają, że więzień z wyspy św. Heleny nie przestał wspominać szambelanowej z Walewic, która, zapewne z jego wiedzą i wolą, tymczasem wyszła za mąż. Jak to się stać mogło? Po prostu. Pan Walewski umarł nareszcie w roku 1814, hr. d'Ornano był jednym z najprzystojniejszych oficerów wielkiej armji. Marysia Łączyńska wyszła za niego. Może sobie myślała, że nie popełnia mezaljansu, bo wszakże pułkownik d'Ornano pozostał do końca wiernym cesarzowi...

Legenda napoleońska ma odtąd bolesną i gorzką pretensję do Marysi Łączyńskiej. Już lepiej, gdyby po Elbie słuch był po niej zaginął, niechby się nawet z pokładu „Bellerofonta“ rzuciła w fale morza w oczach odjeżdżającego kochanka, niechby, tak jak ka-

pitan Piątkowski, wybrała się na św. Helenę. Niechby wszystko inne, byle nie to małżeństwo! Tak. Wszelako zdarza się nieraz, że kobiety zdradzają nawet bajkę swego życia. A zresztą któż dojdzie? może dopelniła się miara łez, co płynęły i płynęły z niezabudkowych oczu w ciągu dziesięciu słonecznych lat romansu.

Szambelanowa Walewska jaśniała w złocistym nimbie, hrabina Marja d'Ornano nie ma przyjaciół nigdzie. Bonapartyści patrzą na nią niemal z pogardą. Do Polski wracać nie ma pogo, rząd Ludwika XVIII wzbrania pobytu w Paryżu, z dalekiej wyspy przyszedł wyrzut bolesny za małżeństwo. Syn cesarza został w Walewicach. Hrabina Marja d'Ornano kryje się przed Bourbonami w Liège, z mężem oficerem bez żołdu. Na centymy liczą teraz, jak niegdyś rachowało się na grosze w dworku starych Łączyńskich. „Marzec 1816... wydatki: franków 18-cie“... Leroy nie znał takich cyfr. Wydawszy znowu na świat syna, pani Walewska zaczęła niknąć. W niezabudkowych oczach przeglądało się

widmo śmierci. Albowiem zbyt wiele przeplakaly w życiu.

A wtedy bajka uśmiechnęła się do niej po raz ostatni. Schorzała rusza jeszcze w drogę, do Paryża. Być może po to, by zobaczyć raz jeszcze luk sławy, i swój pałacyk przy rue de la Victoire i wesołe szylidy domu Leroy. Coraz ustaje w podróży, na każdej stacji pocztowej wypoczywa. Był grudzień, dziewiąty dzień grudnia w 1817-tym roku. Mróz ściał powietrze, bulwary pokrył śnieg. Ten sam puszysty i biały, mazowiecki, co przed dziesięciu laty bielil się wokół karczmy na przepręgu koni w Błoniach. Wtedy umarła.

ORLAKO.

Nie o tem wiedzieć nie chcą historycy, a przecież prawdą jest, że smutny książę Reichstadtu, syn Bonapartego, Napoleon II zasiadał na tronie polskim. I nawet rządził przez czas jakiś Rzeczpospolitą. Rządził, jakkolwiek nie wypuszczono go ani na chwilę ze złotej klatki w Schoenbrunnie, zasiadał na tronie polskim, chociaż tronu nie było.

Mieliśmy nie jedną, lecz dwie legendy napoleońskie i dwie epepeje. Ojca i dziecka.

Tamta pierwsza spełniła się hucznie, rozgłośnie, boleśnie. Miała zachwycenia Samosierry i rozpaczę Berezyny, słyszała butne słowa cesarza na zamku warszawskim w roku 1809 i szumne obietnice w Wilnie roku 1812-go i cichą ekskuzę w roku 1813-tym, wówczas, gdy deszcz mżył na wzgórzu pod Fuldą. Ach, ileż zmian czarownych w dekoracji. Tu Alpy podniebne, tam kopuły Mo-

skwy studzwonnej, znów rozpalone bruki madryckie i miraż wolności w Księstwie Warszawskim i 30 „gradusów“ mrozu śmiertelnego pod Smoleńskiem!

Druga legenda, legenda dziecka, nie miała niczego. Spełniła się cała w marzeniu i tęsknocie. Wiktorje odbywała myślą, cel osiągała w wyobraźni spiskowca, szum proporców słyszała w sercu poety, a gniazdo uwiała orłociu z niespełnionych snów.

Epopeja i legenda Napoleona I-go jest dotykalnie żywą i boleśnie pouczającą, — epopeja i legenda Napoleona II-go to tylko księżycowy nokturn romantyzmu, rozmowa marzeń. Rozmawia i marzy ich dwoje: Polonia romantyczna i syn Marji Luizy, pacholę ze stygmatem śmierci w oczach. Podali sobie ręce ponad przepaście złej mocy, mimo wszelką aktualną rzeczywistość i poprzez ufryzowaną głowę Klemensa Lothara von Metternich. Dziwny ten ich dialog, prawdziwy i poetyczny zarazem. Prawdziwy, bo z dokumentów legalizowanych przez historję wysnuty, poetyczny, gdyż zda się chwilami,

*** ORLĄTKO ***

że jest jakby nowym, nieznanym dotąd
urywkiem z feerji Edmunda Rostand.

Poniżej opowiem nieco z mało znanych lub
wcale dotąd nieznanych dziejów legendy pol-
skiej o Napoleonie II-gim.

Współczująca pamięć o więzionym w Schönbrunnie królu rzymskim, „kiedyś synu cesarza, dziś tylko synu człowieka,“ żyła w Polsce od początku. Wiercono gorliwie w wysokie przeznaczenie tego dziecka, porwanego ze złotej kolebki Paryża. To dziecię wyrośnie, musi wyrość na mściciela i obrońcę, podejmie dzieło ojca, błędy jego naprawi, obudzi zgasłą miłość złotych orłów i orły same obudzi!

Nikt nie znał króla rzymskiego i nikt go wogóle nie widział. Czy nikt istotnie? Jeden jedyny człowiek z Polski jawił się kiedyś dawno na audjencji u króla rzymskiego. Jeden jedyny człowiek, który, składając trzykrotny, żołnierski ukłon przed synem Napoleona, miał prawo złożyć go w imieniu Polski. Było to w roku 1811 w Malmaison, gdy pani Montesquieu, pyszna ochmistrzyni niemowlęcia, uchyliła na moment zasłony

złotej kołyski przed wyprężonym na baczność
— ks. Józefem Poniatowskim.

Zapytała go naprzód, czy chce widzieć króla.
Książę przybliżył się. Odkryto brokaty.

— Bardzo piękne dziecko, — rzekł książę,
salutując.

Wtedy urażona familjarnością ochmistrzyni:

— Tak jest, Najjaśniejszy Król Rzymski
jest tak pięknym, jak tylko być można w
wieku jego!

A potem już nikt nie oglądał orlątka. Bo
pułkownik Gawroński, eskortujący z swym
szwadronem ułanów przerażoną Marję Luizę
do Blois, — rysów delfina nie dostrzegł.
Ważały się tylko tam i sam wieści i poszepty,
że orlę niewolne dusi się w klatce cesarza
Austrii, że cierpi gorzej Ludwika XVII, gdy
był na edukacji u szewca Simona. Więcej
wiedzieli ludzie, jadący z kongresu wiedeń-
skiego i Wiednia. Najwięcej doktor Frank,
przesławny profesor wszechnicy wileńskiej,
który z ojcem swym, medykiem przybocznym
Marji Luizy, miał kilkakrotnie konsultować
chorzejące dziecko i musiał w tym celu jeź-

dzieć ekstrapocztą aż z Litwy. Bywało z tej przyczyny niemałe każdym razem poruszenie w Wilnie. Jeszcze pan doktor nie wyszedł z karety, a już ciekawe niewiasty wileńskie zasypywały go tysiącem pytań i szarpały w kawalki wiązanek kwiatów. Były to kwiaty bardzo pamiątkowe, gdyż zerwało je dla doktora smutne księżątko własnoręcznie z klombów parkowych.

Król rzymski ma w tym czasie adjutanta w Warszawie. Jest nim — czteroletni Zygmusł Krasieński i pełni ciężkie obowiązki swej służby: bawi się szabelką, którą mu od króla przysłano.

Najwięcej rozumienia, najwięcej myśleń o synu Napoleona roilo się w tej części Polski, która wraz z nim cierpiała niewolę austriacką. Tu imienia jego nie wolno umieścić już nie to w gazecie, lecz nawet napomknąć w liście. Oto urywek z takiego listu sekretnege:
„Dowiedziałem się o zabawnej anegdocie.
„Młody Napoleon od niejakiego czasu usta-
„wicznie pytał się dworzanów, gdzie jego
„ojciec. Nieme w tym względzie istoty,

„niemą dawały odpowiedź, a ciekawość dziecka, wewnętrznem czuciem podsycana, uspokojoną być nie mogła. Pochlebiał, prosił, nalegał, aż nareszcie tyle dokazał, że słuzalcy o rozkaz w tej mierze do Najj. Pana udać się musieli. Pytano dziada, co dziecku odpowiedzieć.

— *Wenn er noch einmal fragt, so bringt ihn zu mir* — była odpowiedź.

„Niedługo czekano. Biedny chłopczyzna ponawia pytanie. Po odpowiedź prowadzą go do cesarza.

— *Was willst?* — rzeknie Pan Najjaśniejszy.

— *Wo ist mein Vater?*— pyta dziecina z przymileniem, któreby skałę poruszyć mogło.

— *Er ist eingesperrt* — wrzasnął dziadunio — *und du wirst auch eingesperrt, wenn du noch mal fragst! Jetzt geh!* Twój papa jest w więzieniu i ciebie każe również zamknąć, jeśli jeszcze raz zapytasz.“

W miarę, jak coraz duszniejszym stawało się życie w Europie pod Konstantym i Metternichem, im silniej drgały w powietrzu wy-

zwoleńcze fale romantyzmu, rosło w oczach dziecię, więzień cesarza Franza.

Wypowiedziano w sercach wojnę wszystkim królom świata — on jeden ostał się, czczony na sztandarach włoskich karbonariuszów i greckich powstańców i belgijskich irredentystów.

Wszystkim tyranom zaprzysięgła śmierć spiskująca Europa — jemu jednemu, Napoleonowi II, ślubowała z zapalem *pacta conventa*, ofiarując koronę, jakiej jeno zapragnie: Hellady wyzwolonej, albo Belgji ciemnionej, albo Włoch powstających.

I nareszcie — koronę Polski.

Działy się rzeczy rozczulające, jakie tylko za dni romantyzmu pomyśleć się dadzą. Imię tego dziecka urosło do wyżyn symbolu. Ks. Reichstadtu stał się inkluzem, świętym talizmanem, sekretem, łączącym szeregi spiskowych. To imię dźwięczało im pieśnią rezurekcyjną. Kazało czekać cierpliwie dnia i godziny. I wszystko obiecywało.

Bo jakżeby inaczej zrozumieć postępek jakowegoś pana Zarębskiego, który nocą prze-

kradł się przez kordon z Galicji do Królestwa i tam pod przysięgą tajemnicy rozdawał medaljony, przez siebie samego zdaje się uklecone. Wyglądały okropnie, ale w otoku błyszczał napis, pobudzający ludzi do płaczu: NAPOLEON II., HERCOG REICHSTADTU, KRÓL POLSKI. Indziej spis-kowy przekupień sprzedawał przemycane z Francji sakiewki, tabakierki i fajki z cyfrą orlątka, panie nosiły brosze, w r. 1812 przez dwór napoleoński używane. Wyobrażoną tam była w koralu podobizna dziecka. Mało tego wszystkiego wydało się litografowi Wysz-kowskiemu w Krakowie. Zaczem wyrył na kamieniu portret księcia Reichstadtu, odział go w strój polski i wsadził na polskiego konia! Niechże jak najprędzej sięgnie w tem prze-braniu po wawelską koronę. Ten Wyszkowski, wielce ucieszony ze swego dzieła, rozdawał litografję w największym sekrecie, poczem w największym strachu w kryminale au-strjackim siedział. Nawet książkę pono wydano, z życiorysem księcia. Ale w tak głębokiej tajemnicy, że nikt jej nie widział,

nikt nie czytał. Nawet policja. Nawet Estreicher.

Nareszcie, wśród okrzyków zapalu odbył się uroczysty ingres dziecięcia na tron jagielloński. Polem elekcyjnym były spiskowe podziemia, elektorami ludzie w czarnych okularach, którzy szli zbawiać Polskę rotą przysięgi w noc ciemną i przyprawioną brodą i broszurą, przemycaną z emigracji — emisariusze.

Największe przygotowania poczynił w r. 1828 zapalony spiskowiec Wincenty Smągłowski. Zebrał on na ustronnem miejscu czterech swych, równie jak on młodych, przyjaciół i przysięgli wszyscy uroczyście na „trupią czaszkę, sztylet i krucyfiks“ — „w obliczu Boga karzącego zdrajców ojczyzny,“ że póty wszyscy nie spoczną i życie narażać będą, dopóki:

„1. nie przymuszą Mikołaja I. do zwrotu Litwy, Rusi i Wołynia;

2. dopóki nie dostaną w swe ręce króla pruskiego, aby go więzić jako zastaw, za zwrot Poznańskiego;

3. dopóki nie osadzą na tronie polskim Napoleona II., który w posagu od cesarza Franza powinien wnieść swemu państwu Galicję z Rzplą Krakowską.“

Legenda o dziwnem orlątku, które zerwie pęta orla białego, rosła a rosła.

Gdy myśl o synu cesarza budziła wypieki na licach starych spiskowców, wtedy i paniom polskim nie była obcą sprawa orlęcia. Bo dawała asumpt do powtarzania przyjemnej plotki. Opowiadano, że samotny delfin empiru kocha się. W Polce, rzecz prosta, jak-żeby inaczej być mogło. Wymieniano nawet nazwisko: pani de Woyna, dama dworu wiedeńskiego, która? mniejsza o to; wśród dam pałacowych i pań krzyża gwiazdzistego było kilka rozmaitych pań tego nazwiska z domu i po mężu.

Wybuch rewolucji listopadowej w Polsce dał niejaką podstawę dziecięcym rojeniom spiskowców. O królu mówiono już przedtem, nim jeszcze była mowa o zwycięstwie. Tylko Mochnackiemu zwidywały się laury polskiego Robespierre'a, inni, nawet czerwoni republi-

kanie wyglądali niecierpliwie chwili, w której Król Jegomość wróci na zamek warszawski, namaszczony w katedrze przez prymasa. Wyłęgła naprzód, popierana już ongi przez Kościuszkę, myśl o sekundogeniturze Habsburgów. Przez chwilę arcyksiążę Karol, zwycięzca z pod Aspern, był wcale popularny jako kandydat. Wszelako Metternichowi udało się, acz z trudem, oblać zimną wodą i odprawić z niczem wysłańców rządu narodowego. Mówiono także o księciu de Nemours, lecz masy hypnotyzował zawsze książe Reichstadt. Na posiedzeniu sejmu była o tem mowa, a nazajutrz po nocy listopadowej przebiegał konno ulice Warszawy tajemniczy oficer francuski, przepasany trójkolorową kokardą i wołał:

— *Vive Napoléon II., roi de Pologne!*

Tłumy odpowiadały mówcy z entuzjazmem, mając w żywej pamięci hasło ojców: Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!



zy wiedział o tem wszystkim syn Marji Luizy i wnuk cesarza Fran- za, czy świadom był władzy swo- jej nad tęsknotą ludów i magne- tycznego łańcucha, jakim spoił duszę mło- dzieży narodów Europy? Czy też odczuwał, że idzie ku niemu „jutro, z twarzą Cezara, ogromne,“ że sam dźwięk imienia wystarczy, by zmartwychwstała miłość, jaką miał u żoł- nierzy jego ojciec, *l'homme de l'Europe*?! Czy wiedział? Przecież często słyszymy, że biały mundur austriackiego sztabowca przy- krył w dziecięciu wielkość duszy, a kome- derowanie bataljonem dawało mu pełną ra- dość życia? Książę Reichstadtu wiedział dobrze i czuł. Mimo kraty więzienia prze- nikały doń wieści ułomne, przeinaczone przez dworaków, niedokładne. Resztę dopowiadała mu wibrująca w atmosferze dusza epoki. Nie mógł nie wiedzieć wszystkiego, skoro był

najukochańszem i prawowitem dzieckiem romantyzmu. Więcej jeszcze: Wydawał się żywym poematem Byrona, powieścią Waltera Scotta. Któż lepiej od niego zdolen był pojąć romantyczną prawdę o rozdwojeniu jaźni? Ojciec uczynił go królem świata, dziadek zmienił w oficera austriackiego, rewolucjoniści zaś, jakobini i węglarze wielbili w nim swego wodza! Któż z ludzi lepiej uosabiał naczelne hasła romantyzmu, ową „nieokreśloność przeznaczeń,“ i „żądę walki ze światem“ i „buntowniczą niezgodę z otoczeniem?“ Czyż był kiedy Hamlet prawdziwszy?

Polski i Polaków nie znał. Przeczuwał ją tylko. Bo i cóż mogli o Polsce powiedzieć ludzie, prezentowani mu w Schoenbrunnie? Widywał przeróżnych c. k. podkomorzych polskiej narodowości, tańczył walca z damami krzyża gwiazdzistego, które ongi urodziły się w Warszawie, spotykał przy stole i w pułku dobrze ufryzowanych Lanckorońskich, Mniszchów, Potockich, w kontredansie kłaniał się uprzejmie próchniejącym komtessom o piastowskich drzewach genealo-

gicznych. Lecz sam czuł więcej, niż mu ci wszyscy Polacy powiedzieć mogli. Kiedy wybuchła rewolucja listopadowa, niewolny ksiązę śledził ją z błyskami zapalu na swej twarzy Antinouse. Już przedtem zwierza się przed swym przyjacielem hr. Prokesch-Ostenem: „Na wypadek, gdy wybuchnie wojna powszechna, a ja stracę widoki odzyskania Francji, wówczas, gdy z zamieszania wyłoni się zjednoczona Polska, chciałbym, aby mnie się oddała. Naprawię wtedy ciężki grzech przeszłości!“ Mówiąc to, nie wiedział złotołoso *moribundus*, że już za dni jego dzieciństwa Austrja układem z 10 czerwca 1817, w porozumieniu z Rosją i Prusami wykluczyła go raz na zawsze od wszystkich tronów w Europie.

Zawiedziony w oczekiwaniach na Francję, Grecję i Belgję, tem więcej liczył na Polskę. I z zapartym oddechem nadsluchiwał, czy cichemu okrzykowi bonapartystów francuskich nie przywłóczy krzyk głośniejszy bonapartystów polskich. Do Schoenbrunnu przedostały się szepty ciche, niepewne, więc

biedny Hamlet, zawieszony pomiędzy ojcowską i austriacką racją stanu decydował się nawet na kompromis. „Jeżeli Polacy — tak mówił do jednego ze swych wychowawców — obiorą mnie królem, będę się starał o utrzymanie równowagi między Austrią i Rosją.“

Tyle wiedziano dotąd o księciu Reichstadt z jego licznych francuskich i niemieckich biografij, tyle też umiał powiedzieć jego jedyny polski historyk dr. E. Łuniński w krótkim szkicu („Wspominki,“ Warszawa 1910). Teraz niechaj rzecz uzupełnią zwierzenia kobiety, która, mając możność częstego stykania się z ks. Reichstadt, notowała wszystko w niedawno ogłoszonych swych pamiętnikach.

Hrabianka Lulu Thürheim, autorka owych pamiętników, austriaczka z rodu, *femme incomprise* z usposobienia, przytem sawantka i malarka, wreszcie zmęczona życiem koniczka, bywa w Schoenbrunnie w latach 1830/31, bierze udział w dworskich zabawach i zbliża się odrazu z ciekawością do orlątko. Robi to sprytnie, jest inteligentna, zaczem

zdobywa więcej, niż wszystkie inne obserwujące go i kokietujące damy. Gdy tamte obserwować mogą księcia li przez bieder-majerowskie *lorgnon*, jej wolno czasem zajrzeć w głąb duszy orlątka. O nijakich amarach niema tu mowy, choć wymieniano czasem hr. Lulu w jednym rzędzie z Nandyą Karolyi i ks. Esterhazy, które, jak wiadomo, szczyły się względami księcia. Zato inna rzecz znamienna. Ta zaciekle legitymistka, nienawidząca z duszy bonapartyzmu, poddaje się odrazu urokowi syna Napoleona. Nie mówi doń nigdy per *Altesse* (jak nakazywała etykieta) lecz zawsze: *Sire!* Zobaczycie, jak będzie stopniowo tajać i zostanie niemal bonapartystką.

Spotkamy na salonach Schoenbrunnu tłum postaci, znanych z Rostanda. Przewodzi wszystkim ks. Lothar Metternich, jest guwerner orlątka, marny Dietrichstein, i zdrajca Napoleona, marszałek Marmont, i zwyrodniały Gentz ze spoconą ręką. A wśród nich orlątko i owa hr. Thürheim więcej romantyczka, niż austriaczka.

*** ZERWANA KOKARDA ***

Gdy zaczną mówić ze sobą, owionie nas tchnienie scen Rostanda i czasem zdawać się będzie, że to jakieś nowe sceny dzieją się w jego sztuce.



pamiętnikach hr. Ludwika Thürheim, wydanych po raz pierwszy w r. 1914, (Georg Müller, München, t. I—IV), znajdujemy następujące wiadomości o ks. Reichstadt:

„30. grudnia 1830. Od kilku tygodni wschodzi nowa gwiazda na salonach Wiednia. Migoce już jasno, ale nie błyszczy jeszcze tak, by można określić jej wielkość. Wszystkie oczy wpatrują się w zjawisko, chcąc odgadnąć, czy to wschodzi wielki i piękny planeta, czy tylko zwyczajna gwiazdka, której blask zgaszono. Szkoda, że tu w Wiedniu niewielu jest astronomów, którzy o tem sądzić mogą.

Gwiazdką jest ks. Reichstadt, syn Napoleona.

...Liczy lat dwadzieścia, jest piękny. Po ojcu odziedziczył czoło i oko. To nie ulega wątpliwości. Czy weźmie też w spadku — jego genjusz?... Można o nim powiedzieć,

jak o marmurze z bajki Lafontaine'a: *Serra-t-il Dieu, table ou cuvette?* Otoczenie księcia od góry do dołu jest tak przeciętne, że nie potrafi nic odgadnąć. Ludzie ci zwykli mawiać o księciu: Książę jest obdarzony rozumem i inteligencją, odznacza się wszelako taką skrytością, że nie można mu zaufać.“

Hrabianka Lulu będzie odtąd widywać orlątko bardzo często i stanie się wkrótce jedną z tych kilku osób na świecie, wobec których młodzieniec zdobywał się na niełatwą odwagę: szczerości. Książę szuka zawsze jej towarzystwa, nazywając ją krótko i serdecznie: przyjacielem. Rozwinie się między obojgiem ciche i zażyłe *liaison* przyjacieli.

„Ks. Reichstadt pragnie każdą rozmowę uczynić zajmującą i udaje mu się to doskonale. Jest dowcipny i zrównoważony, a jakkolwiek wydaje się istotą szczerą i wylaną, woli przecież śledzić myśli czyjeś, niżeli wyjawiać swoje. Zdobywa serca, choć boję się, że czyni to tylko gwoli zbierania obserwacji.“

„Oczy ma dziwnie przenikliwe, uśmiecha się w sposób najmiły. W rozmowie dobiera doskonale gładkich słówek, któremi umie pochlebiać. Gdyby był został królem rzymskim, ubóstwiano by go z pewnością, ale to, być może, przyprawiłoby go o zgubę. Dziś ten sam skutek wywiera jałowa przeciętność ludzi, na których towarzystwo jest skazany! Przepysznie kokietuje starych oficerów, lecz jakże inaczej odnosi się do ludzi i ministrów, od których zawisł jego los. Onegdaj patrzyłam pilnie, w jaki sposób rozmawiał z Gentzem.“

Tymczasem rozpoczął się karnawał r. 1831. Na dworze wiedeńskim od czasów kongresu nauczono się aranżować doskonale zabawy. Lulu ma odtąd często sposobność zbliżania się do księcia, który przykłada się z zapalem do kontredansa.

„3. lutego 1831. Na balach cała moja uwaga zwrócona jest na księcia. Obserwuję go ciągle. Gdybym była o dziesięć lat młodsza, przychodziłoby mi to trudniej, jego gładka kokieteryja i awanse, jakie mi czyni, być może,

zawróciłyby mi głowę. Ale po skończonych latach zyskuje się spokój, konieczny dla sędziego. A jeśli kiedy przez chwilę rozmarzę się na widok postaci, żyjącej wspomnieniem i nadzieją, to jest uczucie chwilowe, jakby galwanizm!“

„4. lutego 1831. ... Nie łatwo wydać sąd o młodzieńcu, którego jedyną szatą jest liberja dworska. Czuję nieraz, że chce rzucić precz tę obcą mu suknię, że uchyla ją przez pół, by się dać poznać. Ale ... czy można zaufać błyszczącemu motylowi, ukazującemu się z pomiędzy osłon?... Nie wiem.

Wszystko w nim zagadkowe. Postać młodzieńca, uśmiech dziecka, a spojrzenie dorosłego człowieka. Toż samo w rozmowie. Czasem zdaje mi się, że myśl moja opanowuje myśli jego i naodwrot.

...Od kilku dni pozwolono marszałkowi Marmont dwa razy w tygodniu odwiedzać orlątko i opowiadać mu o cesarzu. Naturalnie, że Dietrichstein (guwerner księcia) jest przy tem obecny.

Księżę powiedział niedawno do kogoś:

— Rozmawiając z marszałkiem Marmont, muszę rzucić na niejedno zasłonę zapomnienia. Ale to właśnie jest mem przeznaczeniem. Bo cóż stałoby się ze mną, gdybym nie umiał — zapominać?“

Kontredans i subtelne współczujące rozmowy usunęły resztę nieufności orlątka. Usłyszymy zaraz, jak ze sobą mówią.

„6. lutego 1831. Onegdaj wypoczywając po tańcu, siedziałam opodal stołu, przy którym dwór jadł kolację. Pan de la Rue bawił mnie rozmową. Chciałam go namówić, aby wniósł zdrowie Napoleona II! Odmówił stanowczo. Chciałyśmy z drugą jeszcze damą zmusić go do tego żartami. Nagle uczułam, że oczy księcia spoczęły na mnie. Podniósł kieliszek wina szampańskiego i przypił do mnie zdaleka z cudnym uśmiechem. Czy może odczuł treść rozmowy z panem de la Rue i chciał mi za nią podziękować?

„7. lutego. Znalazłam dziś sposobność, aby powiedzieć księciu, jak bardzo ucieszyło mnie zdarzenie wczorajsze. Poczzerwieniał cały i nie-raz w ciągu *soirée* mówił ze mną o rzeczach

poważnych. Między innemi zapytał mnie, czy godzę się na to, że życie ludzkie dopóty jest coś warte, dopóki jest dobre. Potem dodał:

— Dlaczego nie wystarczy żyć jedynie w pamięci i podziwie ludzi?

Mówiliśmy dalej o wielkości, chciałam księciu przedstawić, iż Wielkość nie jest równoznaczna z Dobrem, gdy wtem nadbiegł guwerner księcia bardzo zaniepokojony i wnieszał się do rozmowy, wyluszczając nam swoje poglądy. Zagadywaliśmy pocziwego hrabiego rozmaitemi głupstewkami, tak, że rozmowa wkrótce urwała się...“

„12. lutego. W czasie kontredansa mówiłam z nim długo, gdyż stał tuż przy mnie. Zachwycał się Henrykiem IV, przytaczając z pamięci całe ustępy z „Henrjady.“ Deklamował mi śpiew Gabrjela. Potem powiedział, że każdy młody człowiek musi się czuć bardzo szczęśliwym, ilekroć może złożyć swą sławę u stóp kobiety, która go dobrze rozumie. Powiedziane to było pod moim adresem, pomimo to nie wypadłam ani na chwilę

z roli wychowawczyni i zwalczałam pogląd orlątka.

Wspomniałam, że bliską może być chwila, w której powołają księcia do pułku. Dodałam jeszcze:

— Boję się, że owe zawikłania z Polakami skończą się, zanim księżę Wiedeń opuścisz!

Odpowiedział bardzo żywo:

— Och, byłbym niepokieszony, gdyby mnie zmuszono do wyruszenia w pole przeciw tym biednym Polakom! I ja miałbym im wpaść na tyły?

Oczy księcia zaszyły łzami i stały się owej chwili dziwnie podobne do oczu ojca.

— Sądzę, sire, że Austria nie weźmie udziału w wojnie, chyba na wypadek, gdyby się nasze prowincje polskie zbuntowały.

— Zapewne, ale w każdym razie musiałbym pójść tam, gdzie mnie rozkaz cesarza przeznaczy. A byłoby dla mnie rzeczą niesłychanie bolesną w tych warunkach odbywać pierwszą kampanję wojenną!

Powiedział to gwałtownie i z siłą. Mówiliśmy potem dalej o miłości.

— Więc pani sądzi, że człowiek musi koniecznie wybierać między miłością a sławą?

I dodał z uśmiechem:

— A jak pani myśli? Z czegobym ja musiał zrezygnować? Z miłości, czy ze sławy?

— Z miłości, sire!

Rozmowa zesłała na Anglików. Chwalił ich żądę wielkości, lecz politykę ich nazywał podstępna, sobkowską i małoduszną. Nagle odwrócił się i zapytał:

— Nie wie pani przypadkiem, kto była owa piękna dama, która nas obserwowała przed chwilą?

— To baronowa Stürmer.

(Baron Stürmer był komisarzem austriackim na wyspie św. Heleny).

— A więc żona tego, który...

— Tak, sire.

Brwi orlątka ściągnęły się.

W tej chwili muzyka porwała mnie do tańca. Tańcząc obserwowałam ciągle księcia. Raz jeszcze w ciągu wieczora zagadnął mnie:

— Widzę, że pani mnie śledzi! — zauważył z widoczną przyjemnością.

— Ach, sire, czyżbyś mnie uważał za szpiega?

— Cóż znowu! A jeśli nawet pani mnie śledzi, to mi z tem dobrze.

— Nie, sire. To prawda, że ja cię obserwuję, i nawet bardzo bacznie, ale przed nikim z tego się nie zwierzam, wyjąwszy przed Waszą Wysokością.

Była mowa o wawrzynach.

— Gdybym je zdobył kiedykolwiek, jak-że chętnie złożyłbym je u twych stóp, o pani! Nie mogłam się powstrzymać od uwagi:

— A ja, sire, byłabym szczęśliwa, gdybym cię ujrzała całego okrytego wawrzynami.

Umikł, a gdym nań spojrziała, zdawało mi się, że śni.“

„16. lutego. Wczoraj mogłam z nim mówić tylko w krzyżowym ogniu śledzących nas spojrzeń. To już jest nie do zniesienia! Owe uszy i oczy, krążące za nim i wlepione w niego ze wszystkich stron, oczy wrogie i przyjazne, ciekawskie i podstępne. Ponieważ już nie tańczę walca, mogliśmy w czasie tańca spokojnie rozmawiać.

„Niepokoje we Włoszech skierowały uwagę wszystkich na możliwość wojny. Młodzież wiedeńska cieszy się, że może już wkrótce ruszyć w pole. Tylko dla niego niema żadnej nadziei. Europa staje w ogniu a syn Napoleona skazany jest na bezczynność. Nie będzie nigdy walczył przeciw Francji, bo tak oświadczył cesarzowi Franzowi, a cesarz przyznał mu rację. Nie poszłą go również do Włoch, gdzie rewolucjoniści noszą imię jego na swych sztandarach.

„Powstanie polskie będzie wkrótce zgniecione. Cóż tedy pozostaje sercu, które pręży się niecierpliwie pod krzyżem przeznaczenia? Niczyja dola nie jest jego doli nieszczęsnej równą! Wzywany równocześnie na trony Francji, Polski, Belgji i Włoch, sam ledwie może marzyć o zdobyciu — epoletów „obersta“ w wojsku austriackim. On wie o swej gwieździe i to, zdaje mi się, czuje także, że zimne stulecie obecne, które myśli tylko o swych korzyściach, skazało go na mękę oczekiwania!“...

Po tej znamiennej dygresji, wraca p. Lulu do opisu balu.

„Bal wczorajszy zakończył się wprost bachicznym szałem. Ostatniego walca tańczono nieomal z furją. Księżę tańczył z Nandyną (hr. Karolyi), wyobrażam sobie, jak była szczęśliwa. Zagadnęłam go po skończonych piasach. Nie mógł jeszcze złapać tchu, włosy rozwichrzyły się w nieładzie wokół czoła. Wyglądał przedziwnie.

— Ale dziś — mówił — to już zapewne uważa mnie pani za głuptaska?...

— Nie, sire, tylko za człowieka bardzo młodego, wszak życie składa się z dwóch okresów.

— Jeden za nami, nieprawdaż, a drugi?

— Jeden to ten obecny, drugi okres, to życie człowieka dojrzałego.

— Będę starał się stać poważnym.

— Ale trzeba także bywać w świecie.

— Tak, potroszę, lecz jałowość salonów nuży, często wolę raczej dobrą książkę.

— Wasza Wysokość pragnie być dziś poważnym?

— Pani mnie źle ocenia, ale przysięgam pani, że przywykłem do samotności i wcale

jej się nie lękam. Wszak jestem zawsze sam, a los mój jest podobny do... do...

Tu zawahał się.

— Może — próbowałam dopowiedzieć — do losu orla wsadzonego w kojec?...

— Niech pani powie lepiej, do zamkniętego kurczęcia, które widzi, że kury biegają naokół po grzędzie, a samo trzepece tylko skrzydłami w kurniku.

— Sire, nie godzę się na porównanie z kurczęciem.

— Aha, pani może chce mnie porównać z kogutem, który czeka świtu?

To mówiąc, bardzo spoważniał.

— W tej chwili nie chcę niczego innego, jak wyjechać do Berna, (został tam brygadjerem), a potem mam być austriackim generałem. Innych planów nie mam. To jest moje przeznaczenie i moja karjera.“

„7. marca. Wczoraj wiodłam długą i szczerą rozmowę z księciem. Nikt nas nie śledził, jedyna moja sąsiadka była głucha, jak pień. Mówił jeszcze otwarciej, niż zwykle. Od-

kryłam w nim po raz pierwszy rysy melancholji. Rzekł mi:

— O, jak bardzo cięży mi życie!

Wyraziłam żal, że ma tak mało wiary w siebie i wątpi.

— To nie jest zwątpienie, lecz przesyt!

Ze wszystkiego, co dalej mówił przebiła szaloną nieufność do koterji dworskiej.“

„18. kwietnia. Szlachetna walka Polaków z przemocą rosyjską zajmuje bardzo intensywnie wyobraźnię księcia. Niechybnie szuka on w tych wydarzeniach szans wybicia się na wolność. A może nawet staje w jego marzeniach jakiś tron na północy, na którym będzie mógł zasiąść. I rzeczywiście!...

„Jeśli Polacy zdołają odzyskać ojczyznę, jeśli Rosja wypuści z rąk swych zdobycz, nieprawnie zagarniętą — to czyż syn Napoleona nie będzie pierwszym w szeregu tych, których na tron zaproszą?

„Zawiść i nieufność państw ościennych nie zezwolą Polsce na wybór króla Polaka, nawet walka między partjami nie pozwoliłaby na to — a Napoleon, mimo całą krzywdę,

jaką Polsce wyrządził, czyż nie jest ciągle ich bożyszczem?

„Nie wiem, czy ks. Reichstadtu pragnie tronu polskiego, ale wiem, że niedawno mówił do swego przyjaciela, Maurycego Esterhazego:

— „Często śnią mi się na jawie najdziwniejsze rzeczy. Całe obrazy z nadzwyczajną dokładnością snują się przed memi oczyma. *Czasem widzę się na czele dzielnych wojsk polskich*, to znowu zdaje mi się, że jestem powołany, aby poskromić niedźwiedzia rosyjskiego.

Pobijam Rosję, odnoszę wspaniałe zwycięstwa i wracam, aby zdobyte sztandary złożyć u stóp cesarza Franza. Bo muszę przecież pokryć koszty mego wychowania!

A potem znowu widzę się samotny na skale wśród mórz. Na tej skale, tam, blisko Grobu. Opieram się o nią i patrzę na fale wzburzone, które unoszą się ponad wszystko i wszystko zatapiają. Wszystko, a także mnie, moje sny i marzenia!“

Naprawdę, gdyby nie pedantyczna dokładność, z jaką ta niemiecka hrabina spisywała codziennie swe wrażenia, gdyby nie zupełna, skądinąd stwierdzona wiarygodność zapisków — sądzilibyśmy, że mamy do czynienia z dzisiejszym wypracowaniem literackim, tak dalece zbiegają się te notatki z poetyczną legendą o orlątku. Nawet wzbogacają ją w nowe rysy i czynią postać samą piękniejszą od opowiadanych o niej baśni.

Hrabina Thürheim nie widziała już nigdy potem orlątko. Musiała wyjechać zagranicę. Chociaż pragnęła mu jeszcze wiele rzeczy powiedzieć, i, co więcej, miała mu wręczyć najdroższą dla niego pamiątkę, o której marzył: zwitek włosów Napoleona.

Za powrotem hrabiny, chory ks. Reichstadtu już wizyt nie przyjmował i na salonach dworu nie bywał. Oto ostatnie słowa jej o księciu:

„16. maja 1832. Książę Reichstadtu, złożony skomplikowaną chorobą, której zarodków nabawił się już w młodości, chorzeje i gaśnie powoli. Dwóch lekarzy czuwa przy

nim, pielęgnują go, jak umieją, ale gasnące oko orlątka daremnie szuka przyjaciela przy swem łożu. Matka, Marja Luiza, nie ma czasu na odwiedzanie syna, gdyż pochłonięta jest całą przygotowaniem do ślubu swej nieprawej córki, stary guwerner, hrabia Dietrichstein to jedyny człowiek, który trapi się chorobą orlątka i jej nieuchronnym końcem.

Od roku nie widziałam ks. Reichstadt, od dnia owego, w którym przechadzał się ze mną po ogrodzie i kiedy mi powiedział: „Będę panią zawsze uważał za swego przyjaciela“ ...

„25. lipca. Już niema ks. Reichstadt. Ostatnia iskra z wielkiego czoła Napoleona zgasła.“

Zwitek włosów cesarza, który hr. Thürheim miała doręczyć orlątku, pozostał do dziś niedoręczony w rękopisie jej pamiętnika.

Druga legenda napoleońska skończyła się. Los spełnił marzenia empirowego Hamleta i ozdobił koroną więdnące skronie. Nie była żadną z tych, o których śnił. Ani francuską, ani polską, lecz inną: była koroną romantycznego piękna.

ZERWANA KOKARDA.

Dopiero razem wzięte oba te usposobienia mogły utworzyć jeden typ kobiety, właściwy epoce pierwszego cesarstwa. Lazurowa, nieuczona i przesmutna miłość w połączeniu z uśmiechniętym i zwinnym, po 18. wieku odziedziczonym *esprit*. Szambelanowa z Walewic nie sama, lecz wraz z kuzynką. Tą, która ją daremnie wychowywać usiłowała, tą, z którą wspólnie mieszkwały na wsi pod Paryżem. Znano ją dobrze w stolicy świata. I wspomnianoby nawet wtedy, gdyby biografja Napoleona nie znalazła nazwiska pani Walewskiej. Ks. Teresa z Walewskich Stanisławowa Jabłonowska była jedną z dwóch siostr starego szambelana i czuła się w Paryżu, jak u siebie w domu. Ktokolwiek przybywał z Polski nad Sekwanę, oficer szwoleżerski w kasku ks. Józefowym, czy znudzony wojażer z kresów wo-

łyńskich, panna Guzdralska z poematu Niemcewicza, czy Imć. Doświadczyński z powieści Krasickiego — każdy otrzeć musiał pył z obuwia w jej pałacu, w którym koncentrowało się przez lat kilka, od Saragossy po Berezynę, polskie życie towarzyskie i polska intryga, na najlepszych wzorach staniśławowskich oparta. Polacy obowiązkowo, Francuzi często. To też urok paryskiego salonu ks. Jabłonowskiej żyje do dziś w pamiętnikach. Mrużą trochę oczy damy francuskie, gdy o niej piszą, prawią pobłaźliwie, z wysoka o wszystkim, co się tam działo, ale charakteryzują naogół trafnie. „Uważała, że dom jej jest ważnym ośrodkiem poczynań politycznych. Zdawało jej się, koniecznie, że ma wielki talent dyplomatyczny. Gdy córka czcigodnego kanclerza Zamoyskiego rozpaliała entuzjazm z gorliwością, godną bohaterek spartańskich — ks. Jabłonowska przenosiła raczej działanie drogą intryg towarzyskich.“

A pola do działania nie brakło. Wielka armja szła na Moskwę, druga wojna polska

rozpoczęła się. *Les Polonais étaient plus que jamais à la mode.* Kobiety podtrzymywały tę modę, jak tylko umiały, ku zdumieniu, ku podziwowi Francuzów. *Quelques dames de cette nation* — mówi obserwująca zbliżona madame Chastenay — *femmes distinguées par l'esprit et mêlant quelque air de hauteur à leurs habitudes d'intrigues avaient exalté toute leur jeunesse et donné un air d'habileté aux spéculations diplomatiques du pauvre duc Bassano.*

Gromadziły się te panie głównie w jej domu, u ks. Teresy i jej siostry pani Bierzyńskiej. Zaś biedny książę Bassano, któryby się w mysią dziurę schował przed niemi, teraz był szczęśliwy, bawił bowiem przy cesarzu w kwaterze głównej, w drodze do Moskwy.

„I tak to polskie Longueville grało i przegrywało raz po raz.“ Nie bez racji zaiste przyrównywano kuzynkę pani Walewskiej do owej rozgłośnej siostry Wielkiego Kondusza, do ks. Longueville z epoki Frondy, którą jej amant niespokojny i pisarz prze-

*** ZERWANA KOKARDA ***

sławny Larochefoucauld uwiecznił w czworowierszu:

Wydałem wojnę królowi,
By zdobyć serce twoje,
Lecz mógłbym, u stu djabłów,
I z Bogiem pójść na boje!

W szczęśliwszem jednak była bratowa pani Walewskiej położeniu od swej poprzedniczki z czasów Frondy. Nie potrzebowała szukać bohatera, któryby wypowiedział wojnę królom, bo heros już był, a nieuczona kuzynka kochała herosa. Podzieliły się rolami. Szambelanowa płakała w Warszawie, ks. Jabłonowska uwijała się w Paryżu. Co rozpoczęły łzy pani Walewskiej, tego miał teraz dokończyć uśmiech i spryt jej kuzynki. Od lat bardzo obyta i poznajomiona z Paryżem umiała teraz doskonale wyzyskać moment popularności. Bratowa pani Walewskiej! *Une belle-soeur de la petite comtesse.* Podjęła zaś akcję godną zaiste brawury ulanów Kozietulskiego. Jak tamci garstką poszli na wążóz Samosierry, tak ona szwadro-

nem oddanych sobie pań zawojować chciała najkapryśniejszą z twierdz — salon Paryża. Wojowały zaś pilnie i zawzięcie tańcem, kapeluszem, modą. Napoleon poszedł na Moskwę, a kuzynki pani szambelanowej wybrały się na zdobycie Paryża. Przeplacały krawców i dostawców dworu. Chodziło o to, aby utrzymać zainteresowanie przynajmniej dla tych kilku szczegółów obyczaju polskiego, na jakie raczył już dawniej zwrócić uwagę ziewający Paryż. Niech panie ubierają się tak, jak madame Valeska, niechaj na balach króluje nie kadryl, lecz taniec ułanów Kozielskiego — mazur. Niech piosenka bulwarowa opowiada Francuzom o Warszawie. Na chwilę udało się. Paryż zaczął tańczyć mazura, nowobogackie damy dworu stroiły się w *toques à la Varsovie*, owe bialo-złote budki słomiane z wiszącymi kwastami i jakieś muślinowe czepki, o których pan Leroy zapewniał, że są narodowym wyrazem oryginalnej mody polskiej. Ale niedługo, bo historia, a za nią moda gnała pędem naprzód. Mazur wkrótce znikł z karnetów.

Jest to taniec mdły, rozwlekły i poprostu nudny *à cause de son extrême longueur*. Z inicjatywy ks. Jabłonowskiej ożywiono go na kilku balach wkładkami z mitologii i baletu klasycznego. Wkładki, owszem, podobały się. Nieco więcej uznania znalazły prześliczne ostrogi ze wstążeczek. Były to długie szpiczaste zakończenia obcasów u pantofelków damskich z białego, błyszczącego jedwabiu. *Pour imiter le bruit de la botte eperonnée* — jak zapisuje madame de Chastenay. Aby pantofelek damski błyszczał na parkietach tak, jak błyszczy ostroga szwoleżerskiego buta!

Nie należy śmiać się z owych niewieścich poczynań, z dziecięcej ich ekstazy. Budziło się przecież w kobiecie uczucie nowe, dawniej obce, potępiane. Obce ludziom wychowanym wśród ostatnich blasków gasnącego rokoka. Nowe słowa jawiły się dotąd pogardzane. „Oczyzna“ do niedawna *détestable* nabierała teraz innego obowiązkowego określenia *douce*. Dla tej słodkiej „oczyzny“ chciały panie także coś zrobić, na coś przy-

dać się, jakoś dopomóc. Dopomagały tedy mazurem, toczkiem *à la Varsovie*, ostrogą ze wstążeczek.

Dopomagały kokardą.

Właśnie transport kokard nadszedł do Paryża z Warszawy. Kokard oplakanych łzami, płakała bowiem cała Warszawa z uciechy. „Wesołość powszechna wstąpiła we wszystko, co tylko polskiem oddychało powietrzem.“

Nastalo lato miłościwe. Sejm naprędce do Warszawy zwołany powołał naród pod broń. „Będzie Polska, co mówię, jest już“ ... wołał z trybuny Matuszewicz, przysięgający wierność Wskrziesicielowi. A wtedy panie przystroili się w kokardy. Podobnie jak ich matki w pierwszą rocznicę Ustawy Majowej, kiedy to trzysta dam w bialo-amarantowych kontusikaeh zjechało do kościoła Św. Krzyża. I teraz „tysiące kokard i przewiązek na ręku niewiast pojawiło się.“ W kolorach innych, z konfederacji barskiej. Szafir z amarantem ze wstążek uwity. Na ich widok ludzie płakali. Natychmiast wybrana deputacja mło-

dych dziewic powiozła uroczyście taką kokardę do parku Łazienkowskiego i przypięła ją królowi Sobieskiemu, który tam zdawna siedział na pomniku. Na lewej ręce powyżej łokcia. Tak jak wszystkim mężczyznom. Potem sztabowy oficer uproszony był, aby pognać szlakiem wielkiej Armji za Grodno, za Niemen hen precz i ofiarować taką samą Napoleonowi w kwaterze głównej. Niechaj cesarz wie i pamięta, że na niewzruszonym fundamencie jego obietnicy wznosi się gmach naszej przyszłości! Szafir z amarantem miały powtórzyć wszystkim ludziom na świecie słowa rzucone wśród spazmów radosnego płaczu z trybuny sejmowej: Będzie, co mówię, jest już...

U księżny Jabłonowskiej w Mons pod Paryżem bawiła w owym czasie na letnim wypoczynku literatka i komedjopisarka francuska madame de Bawr, która tak wspomina o nastroju towarzystwa w swoich pamiętnikach (Paris, Passard, 1853): „Byłoby rzeczą niezwykle trudną opisać szal, jaki ogarnął duszę tej wytwornej kobiety i wszyst-

kich jej rodaczek, które się w Mons zgromadziły... Wogóle o niczem innym mówić z niemi nie było można, jak tylko o cesarzu, lub o jego armji, a czyniły to z egzaltacją taką, iż można było myśleć, że powarjowały! Wszystkie rozpoczęły na gwałt korespondencję z intendantami swych dóbr w Polsce. Rozkazywały, żeby otwierać przed Francuzami pałace i zamki i ułatwiać im na każdym kroku wszystko i traktować jednym słowem jak gospodarzy domu.“ (Nawiasem mówiąc, rozkazy te były zbyteczne, gdyż armja napoleońska już przedtem otworzyła je sobie sama i pustoszyła Polskę wedle najlepszych sił).

Wieczory w Mons, w polskiem Longueville, gdzie zebrana razem czuwała kolonja wszystkich pań, czekając chwili narodzin Polski, upływały słodko wśród ogni sztucznych, strzelania z moździerzów i śpiewu narodowych pieśni. Zaśpiewywały się piosenkami, które szły z pól bitew i biwaków, na tornistrach przez poetów pułkowych spisywane. A przedewszystkiem tą pieśnią

ulanów Tyszkiewicza, najnowszą, najśliczniejszą i lży wyciskającą. „Dziewczę umierało, jeszcze się pytało, czy na tamtym świecie ulani będziecie?”

Wraz z nową pieśnią przybyła i nowa kokarda. Jedna z tych, które przypięto Janowi III na pomniku i które posłano Napoleonowi do kwatery głównej.

Kuzynka pani Walewskiej wiedziała, co z nią uczyni. Nie poniesie jej na salony paryskie, nie pokaże jej Francuzom, którzy się nie poznali na ostrogach ze wstążeczek, ani na wkładkach klasycznych do mazura. Wręczy ją komu innemu. Komuż, jeśli nie temu, który sam jest mitem i legendą? Człowiekowi, który bardzo sceptycznie odnosił się do wszystkich poczynań siostry pana Walewskiego. I do tych jedwabnych ostróg i do entuzjazmu i do radosnych lez. I do szambelanowej z Walewic. Nie dał się dotąd przekonać. Zaklinał, protestował, machał ręką i odjeżdżał. Nie przemówiła doń ani Jena, ani Wagram, ani nawet Samosierra. Nie nawrócił sam Napoleon, z któ-

rym długie wiódl rozmowy. Nie ujęła go dla sprawy nawet spartańska ks. Sapieżyna, którą kiedyś dawno miał poślubić. Samotny, osowiały i gorzki mieszkał niedaleko stąd, na emeryturze swej sławy w Berville. Lecz teraz już chyba zdobędą go na pewno. Ta kokarda uczyni cud. Kokarda, na której widok ludzie płaczą, kokarda, którą posłano Napoleonowi i którą przypięto na pomniku Sobieskiego.

Współpracownicy ks. Jabłonowskiej przypną ją tedy Tadeuszowi Kościuszce na uroczystym wieczorze wyłącznie z rodaczek złożonym.

Zaproszono Naczelnika, przywdziano na ramię kokardy, naprędce przygotowane. Wśród radosnych śpiewów i czulego płaczu. Jedna zaś była tylko w tem gronie cudzoziemka, patrząca trzeźwo i bez kokardy na lewem ramieniu. Madame de Bawr. Wszystko, co widzi, zapisuje w myśli, a potem w pamiętnikach.

Nie czciły go fanfary, ani ognie sztuczne, ani moździerze, gdy przyjechał. Wiedziały

panie, że starzec tego nie lubi. Powitano go strofą pieśni, którą właśnie w Warszawie ułożył przed kilku tygodniami współtowarzysz jego petersburskiego więzienia, Niemcewicz: „Ojczyzna z grobu powstaje, czarna krew jej ciecze z czoła.“

Gość słuchał, póki pieśń nie przebrzmiała. Wodził zimnem okiem po barwistym tłumie pań. Opędzał się od tej radości, którą odychało polskie Longueville. Nie miał im nic do powiedzenia. Wstydzził się. Oczy nabrały mu bólem, przerażeniem, wzdargą nieomal. Patrzył na nich, jak wyrzut sumienia, jak trzeźwy sędzia, bolesny opiekun, jak przerażony bezmyślnością dzieci rodzic. Damy zatchnęły się, nie wiele jeszcze rozumiejąc. Jedyłą, która nie straciła przytomności i nie miała na ramieniu kokardy, była owa cudzoziemka, madame Bawr.

Patrzy trzeźwo, z uśmiechem. I zapisuje w myśli, a potem w pamiętnikach.

Surowy gość wchodzi do salonu.

Panie wyciągają doń ręce, krzycząc z triumfem, w ekstazie:

— A więc już chyba teraz pozwolisz nam, cieszyć się i mieć nadzieję?

„Widzę jeszcze tego dostojnego starca — słowa pani de Bawr — pamiętam doskonale wyraz jego oblicza, naznaczonego melancholją, przepojonego srogością. Widzę, jak, nie mówiąc ani słowa, zbliża się powoli do siostry pani domu, hrabiny Bierzyńskiej i zrywa najspokojniej z jej ramienia kokardę o narodowych kolorach.

„Panie pobladły. Mróz przeszedł całe towarzystwo mimo upalnej nocy lipcowej. Bo któż mógł lepiej wiedzieć, aniżeli Kościuszko, jak daleko sięgają zamiary Napoleona wobec Polski!...“

A księżna Jabłonowska była niepokieszona. I nie mogła pojąć tego wszystkiego.

Udawały jej się przecież rzeczy najtrudniejsze.

Umiała olśnić paryżanki krojem toczków z Warszawy.

Umiała zaciekać salony srebrnymi ostrogami ze wstążeczek. I mazurem z pantominą klasyczną.

Umiała zdobyć Paryż, trudniejszy od wąwozu Samosierry, lecz nie udała się jej wyprawa na serce Kościuszki.

Nie przemówiła kokarda napoleońska do zwycięzcy z pod Raławic.

Nietylko nie dał jej sobie przypiąć, lecz jeszcze zerwał ją z ramion kobiety.

Kuzynka pani Walewskiej w rozżaleniu przyznawała zapewne rację słowom madame de Chastenay, która tak zwykła o nim mawiać: „*Le fameux*. Kościuszko był jednak w istocie tak skromny, tak daleki od wszelkiej finezji towarzyskiej, tak poprostu ordynaryjny, że jeśli wydawał się wielkim człowiekiem, to z samego tylko nazwiska.“



PAN IZYDOR
NAD ELSTERĄ.

Skąd się wziął nad Elsterą i co mógł tam robić pan Izydor, i to jeszcze Lehman, Izydor Lehman, jednym słowem? Gdyby jego samego zapytać, obruszyłby się srodze lub uśmiechnął ironicznie człowiek, który zdziadpradziada robił w rzemiośle wojennem. Pan Izydor bowiem pochodził ze Strassburga, z rodziny żydowskiej, która od pokoleń całych trudniła się dostawami wojennymi. Jego dziadek dostarczał siana w wojnie siedmioletniej, ojciec zaopatrywał armje koalicji, jemu zaś wypadło zkolei sprzedawać mąkę i mundury wojskom Napoleona. Dowiadujemy się o tem wszystkiem z własnoręcznych pamiętników pana Izydora. Słyszał kto, żeby handlarz mąki i mundurów pisał pamiętniki? Tem ciekawsze są tedy jego „mymuary,“ ogłoszone obok wspomnień dwóch innych żydów w zabawnej książce: *Die Feldzüge*

Napoleons. Nach Aufzeichnungen jüdischer Theilnehmer und Augenzeugen, herausgegeben von Dr. Max Grunwald. (Wien und Leipzig, Braumüller, 1913).

Opowiada nam pan Izydor swe wrażenia frontowe z kampanji rosyjskiej. Frontowe? Tak. Napoleon umiał działać cuda, tedy potrafił nawet wsadzić na koń handelesa i dać mu pistolet do ręki. W tych dawnych, dobrych czasach bowiem intendentura czyniła zakupy dla oddziałów dopiero w ostatniej chwili, najlepszą zaś cenę za szwoleżerskie kurtki osiągało się w linji ognia. Handlarz mundurów i mąki musiał być tedy człowiekiem bardzo odważnym, jeśli chciał zrobić dobry interes. Nu, dlaczego nie? Pan Izydor został człowiekiem bardzo odważnym. Dostawca armji Napoleona musiał być czasem bohaterem na wszystko przygotowanym. *Gemacht* — Zrobione! Pan Izydor stał się czasem bohaterem na wszystko przygotowanym.

Gdzie zaś nie był, czego nie widział! Wiodło mu się tak samo, jak i cesarzowi.

*** PAN IZYDOR NAD ELSTERA ***

Na kampanji pruskiej w latach 1806/1807 zarobił, jak sam przyznaje, bardzo dużo, poczem ożenił się z panną Minettą Lewi. Nie długo jednak trwała idylla małżeńska państwa Izydorków, bo cesarz Francuzów wybrał się na Moskwę. „Gdzież zaś jest lepsza sposobność, pomyślałem sobie, do zarobienia wielkich pieniędzy, jeśli nie w tej kampanji rosyjskiej?”

Ani lzy żony, ani płacz dzieci nie powstrzymały go w domu.

„Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że w
 czas z wyraju,
Za ptastwem i lud ruszył do naszego
 kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą,
Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną...“

Izydor Lehman popłynął również. I nie udało mu się, podobnie jak i Napoleonowi. Nad Berezyną stracił wszystko, dostał się potem do niewoli, w której przebywał ośm miesięcy w bardzo wielkim strachu i w bar-

dzo paskudnej sytuacji. Odtąd postanowił być ostrożniejszym i w ciągu wojny r. 1813 trzymał się zawsze w pobliżu kwatery głównej, a nawet usiłował zawsze nocować tam, gdzie nocuje cesarz.

W chwili rozpoczęcia bitwy narodów pod Lipskiem pan Izydor znalazł się wraz z współnikiem swoim w samym mieście, lecz nie czuł się tam jakoś bezpiecznie. Ruszyli wobec tego dalej na poszukiwanie takich oddziałów francuskich, którym nie groziło osaczenie przez nieprzyjaciela. Uciekając, znaleźli się w stajni, którą właśnie rozwalili granat. Wziąwszy konia za uzdę, zmykał pan Lehman pieszo, z duszą na ramieniu. „To rzenie koni, te krzyki poranionych ludzi, to było coś okropnego. Nie tracąc czasu, uciekaliśmy trochę dalej na przedmieście.“

Zdecydowani na wszystko, aby tylko uniknąć powtórnej niewoli rosyjskiej, szukają obaj współnicy na gwałt gwardji cesarskiej, bo przecież gwardja chyba osaczyć się nie da. I wówczas pod Lindenau nad Elsterą spotyka Izydor Lehman ks. Józefa

Poniatowskiego. Wtedy właśnie. Nad Elsterą. Rzecz zaczyna być interesująca. Niech tedy pan Izydor opowiada sam: (*Die Feldzüge Napoleons*, str. 100 i nast.):

...„Słynna bitwa pod Lipskiem, którą rozpoczął już przed kilku dniami mały korpus marszałka Augerau szeregiem drobnych potyczek, ciągnęła się dalej z wielką gwałtownością od chwili przybycia wielkich wojsk po obu stronach. Ponieważ nie piszę historii wojny, tylko moje własne przeżycia, więc do nich tu powracam. Drugiego dnia, widząc, że zwożą do miasta rannych w coraz większej ilości, rzekłem do mojego przyjaciela: „Zobaczmy, jak tam wygląda poza miastem!“ I pojechaliśmy w dół Elstery aż do wioski Lindenau. Droga zawałona była rannymi wszelkiego rodzaju. Na brzegu Elstery usadowiła się ukryta baterja armat, gotowa do strzału na brzeg przeciwny. Gdy nam pewien oficer zwrócił uwagę, że to miejsce jest niebezpieczne, gdyż naprzeciw nas w zaroślach kryją się strzelcy pruscy, pojechaliśmy z powrotem w górę Elstery.

Mijaliśmy właśnie mały folwark na wzgórzu, gdy deszcz kul świsnął nam koło uszu i utkwił w murach budynków folwarcznych. Uciekliśmy czem prędej, dziękując Bogu, że się na strachu skończyło, a obiecując sobie poskramiać w przyszłości niepotrzebną ciekawość.“

Nazajutrz, po przenocowaniu szukali znowu bezpiecznego schronienia.

„Jeździliśmy tędy i owędy, chcąc koniecznie dotrzeć do miejsca postoju kawalerji gwardji cesarskiej, ponieważ zorjentowałem się, że w tym bezładzie tylko przy korpusie gwardji można chociaż jakiś czas czuć się bezpiecznie, a wołałem nagłą śmierć, aniżeli powtórna niewolę u tych Moskali. Wkońcu odnaleźliśmy istotnie pięć pułków tego korpusu, ustawionych w szyku bojowym poza wzgórzem. Pewien kupiec z Lyonu, który przyjechał na targi lipskie, kręcił się również konno na polu bitwy. Wreszcie przyłączył się do nas i pojechaliśmy razem do korpusu gwardji. Dowodził tym korpusem ks. P o n i a t o w s k i. W naszych

oczach nawoływał on rozbitków i kazał im przyłączyć się do tych oddziałów, które jeszcze nie uległy rozproszeniu.

Między innymi napotkał ksiązę Poniatowski pewnego pułkownika od dragonów, blakającego się pieszo na polu bitwy.

Książę krzyknął doń po francusku:

— Gdzie twój pułk, pułkowniku?!

— Alboż ja wiem? — odparł ten obojętnie.

— Pułkownik musi do ostatniego żołnierza wytrwać na stanowisku. Nędzniku! Pójdiesz pod sąd wojenny!

Potem popędził ksiązę do swych pułków, a my za nim, ja i mój współnik, razem z tym kupcem z Lyonu. W odległości zaledwie stu kroków od miejsca postoju tych pułków artylerja szwedzkiego korpusu otworzyła gwałtowny ogień działowy na kolumnę, do której właśnie zdążaliśmy. Kule świstały koło nas, ale padały daleko poza nami (oj, panie Izydorze, czy pan się nie pomyliłeś, bo jakże mogły „kule“ artyleryjskie świstać tuż koło pana?) Ten kupiec z Lyonu, który

czegoś podobnego nigdy nie widział, nic nie powiedział, zawrócił konia i uciekł w najgwałtowniejszym galopie. Żołnierze w szeregach zaczęli się głośno śmiać na widok jego ucieczki. I my się śmiali także.“ (Przypuśćmy, że panu było do śmiechu, panie Izydorze).

„Wieczór był jasny, zdała widniało na wyżynie czterdzieści dział szwedzkiego korpusu, naprzeciw nich zaś ciągnęły się w naszą stronę długie linje piechoty francuskiej. Francuzi byli gotowi do akcji, lecz narazie ograniczali się tylko do obserwowania ruchów nieprzyjaciela.

W rezerwie na pagórku zajęli miejsce grenadjerzy, kirasjerzy, dragoni i strzelcy gwardji, oraz polscy ułani z lancami, do których i myśmy się przyłączyli. Brakowało tylko artylerji i dlatego książę Poniatowski sprowadził kilka lekkich bateryj, które jednego tego wieczora nie doszły do akcji.

Szliśmy, prowadząc konie za uzdę. Książę Poniatowski w otoczeniu generalicji przechadzał się pieszo tam i zpowrotem, a doj-

rzawszy nas, zbliżył się i zapytał w sposób bardzo grzeczny:

— A wy tu poco?

Najkrócej, jak umiałem, opowiedziałem księciu moje przygody, i dodałem, że wiem z doświadczenia, iż nigdzie człowiek tak dobrze się nie czuje, jak przy korpusie księcia Poniatowskiego. (O, chytry Izydorze!) I dlatego ja sobie pozwalam (tak mówiłem dalej) upraszać księcia, ażebyśmy z jego pozwolenia mogli tu nadal pozostać.

Księżę Poniatowski odpowiedział uprzejmie:

— Niech pan zostanie. Tu jest istotnie najbezpieczniej.

My zaraz poznaliśmy, że oni wszyscy są bardzo pomęczeni. Zarówno księżę, jak i jego generalowie nie mieli ordynansów, ani luzaków. My zaś (tzn. ja i mój współnik) mieliśmy małe manierki, które kazałem w Lipsku napelnić dobrym arakiem.

Księżę je spostrzegł i zapytał, co my tam mamy, co?

Odpowiedziałem, że to jest taki dobry arak i że będzie mi bardzo przyjemnie móc usłużyć księciu moim arakiem.

Poniatowski był tak łaskaw i zgodził się na moje zaproszenie i zaraz pociągnął sobie trochę z mojej manierki, potem oddał z podziękowaniem, mówiąc:

— Dobrze, bo wzmacnia.

Wtedy my poczęstowaliśmy również i tych generałów ze świty.

Nastąpiła noc, która przeszła bez strat, korpus nasz nie stracił ani jednego konia, ani żołnierza. I ta artylerja szwedzka ucichła jakoś. Książę dał świcie swojej rozkaz do odjazdu i cofnął się wraz z generalicją na wielki dziedziniec. I my także pojechaliśmy tuż za nim. (O, wścibski Izydorze!) Książę zsiadł z konia i wszedł do wnętrza budynku. My chcieliśmy również wprowadzić konie do stajni, ale posterunki nie puściły nas, chociaż tam było jeszcze dosyć miejsca. Z tego powodu wywiązała się sprzeczka pomiędzy nami i oni nawet wyciągnęli sobie szable i grozili. Wobec tego

opuściliśmy szybko dziedziniec i wraz z końmi pojechaliśmy na pole.“

Tyle ma do powiedzenia napoleoński dostawca mąki o swem spotkaniu z naszym księciem Józefem. To jest niewiele i nie posiada, naturalnie, żadnego znaczenia historycznego. Nic ważnego nie stało się. Poprostu, wielki wódz spotkał nad wieczorem w linji małego żydka, prowadzącego konia za uzdę, i napił się araku z jego manierki.

Tę scenę widzę żywo. Nieprzytomny ze strachu pan Izydor podaje marszałkowi Francji manierkę, poczem ucieszony i dumny, że taki wielki wódz pije jego arak, pyta: Co, książę, mówisz do tego araku, co?

Ot sobie anegdota. Interesująca przez to, że wiąże się z ostatnimi chwilami ziemskiego bytu herosa. A jednak przebija z niej ogromne, reprezentatywne, kosmiczne nieomal znaczenie Izydora Lehmana. On tu jest protagonistą i bohaterem właściwym.

Izydor Lehman, chytry spryciarz, który potrafi wkręcić się w najbliższe otoczenie

Napoleona, bo gdzie jak gdzie, ale tam chyba jest bezpiecznie. I pójdzie się ogrzać przy ognisku cesarza, bo tam jest najcieplej.

Izydor Lehman jest wścibski i natrętny. Koniecznie musi postawić konia w tej samej stajni, którą zajął przed chwilą sztab ks. Józefa, choćby mu nawet posterunek szablą groził.

Izydorowi Lehmanowi nigdy nic nie grozi. Nawet w bitwie pod Lipskiem, w której dziewięćset dział grzmiało, czuje się bezpieczny w niebezpieczeństwie.

Izydor Lehman jest zawsze potrzebny. Zjawia się z arakiem wtedy właśnie, gdy świta naczelnego wodza została głodna i zziębnięta.

Izydor Lehman jest wszędzie i wszystko wie — lepiej. Żaden z pamiętnikarzy napoleońskich, nikt z wyższych oficerów nie zanotował w swych wspomnieniach żywej, bezpośredniej rozmowy z ks. Józefem w przededniu jego heroicznego czynu i świadomej ofiary życia, którem pieczętował tra-

*** PAN IZYDOR NAD ELSTERĄ ***

gedję narodu i własną. Izydor Lehman wie, widział go i mówił z nim.

Izydor Lehman urasta do rozmiarów niezwykłych. Ma w sobie coś z symbolu. Jest wszędzie. Nietylko w legendzie ks. Józefa. W całej — legendzie polskiej.

OCZYMA DZIECKA.

Gdy orlę ginęło, pozbawione powietrza w złotej klatce wiedeńskiego dworu — synowi szambelanowej z Walewic dobrze wiodło się na świecie. Tak dobrze, że może nawet czasem myślał bez upokorzenia o tem, że jest dzieckiem miłości, łączącej najpiękniejszą z kobiet i najpyszniejszego z mocarzy. Nietylko nie nienawidził ojca i nie miał żalu do matki, lecz nawet kochał głęboko i uwielbiał pamięć obojga. W promieniach legendy bowiem, której był owocem, życie ułożyło mu się gładko, beztroskliwie, aksamitnie. Pod dobrą snac przyszedł na świat gwiazdą w Walewicach, gdyż dziedzictwo Napoleona nie zawsze wychodziło ludziom na dobre. Elementy charakteru, które w postaci Korsykanina ułożyły się w całość genialną, niesłyszana w historii, i wydały herosa, w następnem pokoleniu — zdarzało się — powoły-

wały do życia bandytę. Takim był np. słynny w annałach policyjnych syn lektorki siostry cesarza — Leon Desnuel, z powierzchowności ładząco podobny do ojca, z usposobienia półoblakany zbir i sutener, który, wzięwszy genialny spryt w dziedzictwie, stosował go w oszustwach, a nie cofającą się przed niczem, brutalną żądzą zdobycia świata topił w pospolitym brudzie codzienności, i z tego tylko powodu zasłużył na monografię, którą o nim napisano.

Syn pani Walewskiej przyniósł również na świat rysy charakteru ojca, ale w innem połączeniu. Nazywano go słusznie „Napoleonem salonów.“ Władzał bowiem niemi z tą samą mocą i szczęściem. Jak Imperator cesarstwa i królestwa, tak syn jego podbijał serca kobiece, a gładkością grzecznych form zdobywał ludzi wogóle. Nawet wówczas, gdy imię Uzurpatora było wyklęte, za czasów Restauracji, błyszczał w rzędzie najpopularniejszych osobistości i najpierwszych dandysów życia paryskiego.

W czepku urodzony, nie wiedział co począć z nadmiarem szczęścia w życiu. Za rydwanem „Napoleona salonów“ biegły tłumem kobiety. Jedne, porwane pięknnością Adonisa i wdziękiem form (pani de Flahault), inne, wyzyskujące sprytnie nieprawdopodobną hojność rozrzutnika (artystka Rachel). Rozpieszczali go wszyscy. Wysokie towarzystwo, chłodna dyplomacja, i nawet srogie augury Parnasu. Kiedy napisał sztukę (*L'école du monde*), bo obok wielu innych żywił również ambicje teatralne, czytania jej słuchały najpierwsze powagi Francji z Dumas'em, Thiers'em i Cousin'em na czele, kiedy zaś sztuka padła na premierze, olimpijski Wiktor Hugo przybiegł nazajutrz do palacu Walewskiego i nakreślił mu na swym bilecie wizytowym słowa pociechy: *Bravo Walewski! Vous avez déjà des ennemis, c'est beau, continuez!*

O pochodzeniu Aleksandra Walewskiego krążyły zrazu tajemnicze wieści, których jedyną rękojmią było ludzające fizyczne podobieństwo. Historja serca pani szambela-

nowej nie stała się jeszcze lupem tłumy. Opowiadano sobie na ucho w sposób tajemniczy o *sang glorieux*, która płynie w żyłach rozkosznego króla salonu i o jego *nais-sance romanesque*. Że nie jest czystej krwi Francuzem odczuwano powszechnie. Ten właśnie egzotyzm temperamentu i usposobienia ujmował, korcił, zniewalał. *Il dansait à merveille* — pisze pani d'Agoult. — *Il valsait comme un étranger, comme un Slave, avec une grâce inée, une verve que n'acquièrent jamais nos Parisiens.*

Piękna wówczas dama musiała sama paść ofiarą jego uroku, bo powiada dalej tak: „Wszystko w nim było jakieś inne, odrębne, czy to prześliczne brunatne oczy, czy uśmiech rozmarzony, czy wreszcie żwawy akcent, z jakim mówił o miłości“...

Wtajemniczeni wiedzieli, że pani szambelanowa zostawiła pamiętniki. Nie pisała ich sama, lecz dyktowała. Byli tacy, którzy znali tytuł tej książki: *Mémoires de la Comtesse Walewska*. Spisała pani szambelanowa

swoje wspomnienia w sposób prosty i szczerzy, tak bardzo szczerzy i poufny, że nie można było ogłosić ich drukiem. *Ils comprennent nombre de détails intimes, trop intimes même pour être publiés* — stwierdza dziś jeszcze pan Raindre, który pozwolenia na druk całości nie uzyskał.

W ślad za dandysem, który, czekając tęsknie na drugie Cesarstwo, zgrywał się na wyścigach, reformował salony Paryża na ton angielski i szalał za kobietami, biegło wścibskie natarczywe pytanie:

Czy to prawda? Czy tak wszystko było, jak szeptą na ucho ludzie?

Czy pamięta cesarza, bo przecież powinien pamiętać. Miał wtedy na Elbie cztery lata...

Czy pamięta matkę swą, najpiękniejszą z pięknych, matkę, którą stracił w siódmym roku życia?

Lecz nikt o to nigdy nie poważyl się zapytać od czasu słynnego wieczoru u lady Holland w Londynie. Lady Holland była sławną entuzjastką cesarza. Do ostatnich

chwil jego życia posyłała mu w sekrecie z Londynu na wyspę św. Heleny książki, listy i wszystko, co mogło ulżyć w cierpieniach Prometeuszowi. Gdy młody Walewski przybył po raz pierwszy do Anglii, lady Holland uczciła te wielkie dla niej święto przyjęciem, w którym wzięły udział najpierwsze osoby dworu i towarzystwa. Wówczas to poruszona do głębi jego widokiem wyszeptala podobno:

— To szczególne, to niepojęte, panie hrabio, jak bardzo przypomina pan swego ojca!

Walewski zaś odparł z uśmiechem:

— A jeszcze bardziej szczególnem wydaje mi się, milady, że pani знаła hrabiego Walewskiego, który nigdy w życiu nie był w Londynie!

Tą doskonałą odpowiedzią, którą nieraz później w innej formie powtarzano, zdobył odrazu Walewski Anglję i obronił się raz na zawsze od natarczywych zapytań.

Dopiero pod koniec życia, kiedy przyszło mu wycofać się z działalności dyplomatycznej za Napoleona III i objąć przewo-

dniectwo Izby deputowanych, postanowił dać odpowiedź na pytanie, którem przez długie lat dziesiątki dręczyły go wścibskie, ludzkie oczy Francji i świata.

Odpowiedź była bardzo prosta. Usiadł i zaczął pisać: Urodziłem się w Walewicach dnia 4-go maja...

Niewiele tego, ledwie kilka stronnic, bo też wspomnień dziecka niewiele. Lecz jakże urocze! Gdyby ktoś specjalnie szukał formy artystycznej na ujęcie mglistych i zatartych w pamięci wrażeń dziecka, nie znalazłby lepszej, niż ta, którą obral *comte Walewski*, opowiadający poprostu, dla Francuzów i po francusku, z ogromnym taktem szczerze i bez uprzedzeń, bo też ich nie miał. Nie nienawidził cesarza, uwielbiał matkę. W promieniach legendy żyło mu się przecieź gładko i beztroskliwie.

Dwa krótkie fragmenty pamiętników, których daremnie dopraszali się i wyczekiwali ludzie 2-go Cesarstwa, dopiero w naszych czasach ujrzaly światło dzienne, wydobyte z ukrycia przez dyplomatę p. G. Raindre

i ogłoszone w r. 1925 w kwartalniku *La Revue de France*.

Posłuchajmy:

* * *

„Urodziłem się w Walewicach w Polsce 4-go maja 1810. Narodzinom moim towarzyszyły błyskawice i grzmoty, co uważano za prognostyk, że życie moje będzie burzliwe i niezwykle. Do chrztu trzymało mnie, w myśl starego rodzinnego przesądu, dwóch zebraków, abym miał szczęście w życiu.

W sześć miesięcy po mojem przyjsciu na świat niesnaski pomiędzy matką moją a jej mężem, rzecz zawsze bardzo bolesna dla dzieci, sprawiły, iż matka moja opuściła Polskę wraz ze mną i moim starszym, pięcioletnim bratem i przeniosła się do Paryża. Tu dodać muszę, iż niesnaski te nikogo nie dziwiły, wiedziano bowiem, że matkę moją, jako 16-to letnią panienkę zmuszono do małżeństwa z 60-letnim starcem. Względy majątkowe i zapewne miłość własna były jedynym powodem tego związku.

Pomimo różnicy w usposobieniach, ojciec mój umiał widocznie ocenić niezwykle zalety matki, zczasem uznane przez cały świat, skoro przy rozwodzie dal jej połowę swego majątku.

Pierwsze moje wspomnienia sięgają roku 1813, kiedy miałem zaledwie trzy lata. Niektóre szczegóły wylaniają się, jak świetlne punkty z pośród ciemności w mojej pamięci, i zauważyć się dają wśród mroku.

Matka moja, separowana *à l'amiable* z mężem, przybyła w r. 1812 do Paryża i zamieszkała w pałacu przy ul. du Houssaye 2. Pewnego styczniowego wieczora 1813 zbudzono mnie nagle, ubrano pośpiesznie i zaprowadzono do pokoju matki. Dwóch starszych panów było u niej z wizytą. Jeden z nich bierze mnie na kolana i całuje. Wyraz jego twarzy mam bardzo żywo w pamięci. Ta chwila zaś to pierwsze, bezwątpienia, wspomnienie mego życia.

Latem tego samego roku matka moja, zmuszona interesami do podróży do Polski, zostawia mnie w Athis u swej kuzynki, księżny Jabłonowskiej. Z wiosną roku 1814

zajmujemy mały pałacyk przy ulicy *de la Victoire* 48. To było w czasie, kiedy Sprzymierzeni zajęli Paryż.

Mając lat cztery, odbyłem z matką podróż do Włoch, a po drodze zabawiliśmy kilka dni na wyspie Elbie. Rzecz szczególna, byłem przecież małym dzieckiem, a mimo to, pamiętam wyśmienicie domek, w którym mieszkaliśmy, pamiętam Napoleona i wszystko, co mi mówił, przypominam sobie namiot, w którym mieszkał i nawet towarzyszących mu grenadjerów.

Na Elbie odnajduję i pamiętam dokładnie owego pana w błękitnym mundurze z białymi wyłogami, tego samego gościa, który rok przedtem przybył do nas na ulicę *du Houssaye*, a którego rysy zostały mi żywo w pamięci.

W czasie naszego pobytu we Włoszech matka odebrała wiadomość o śmierci swego męża. Jej boleść ówczesną z tego powodu przypominam sobie dokładnie.

Również pamiętam Neapol, Wezuwjusz i morze. Widzę to wszystko, jak gdyby

przez zasłonę z mgły, dokładniej pomnę księcia Murata i królowę Neapolu, Karolinę, która dawała mi zabawek aż do przesyty. Podobnie księżna Walji, która wysoko ceniła moją matkę, rysuje się jasno w wspomnieniach dziecka.

W drodze powrotnej z Neapolu ścigał nas korsarz i nawet groziło nam dostanie się do niewoli. Do Paryża powróciliśmy szczęśliwie z początkiem roku 1815.

I oto znów odnajduję w pałacu Elizejskim gościa z ulicy du Houssaye, ubranego podobnie jak na Elbie, w błękitny mundur z białymi wylogami. Pan ten zawiadamia moją matkę, że właśnie wyjeżdża na pole walki. I pyta mnie, czy chcę mu towarzyszyć. Matka sprzeciwia się. *Eh bien, madame, je le prendrai de force!* A więc zabiorę go przemocą. Słowa te dźwięczą mi jeszcze dziś w uszach.

W kilka tygodni później przybyliśmy na wieczór w Malmaison. Nastrój był smutny i grobowy. Szczegóły tej wizyty utkwiły mi bardzo niejasno w pamięci. Mam wpraw-

dzie przed oczyma postać cesarza, widzę rysy Jego twarzy, przypominam sobie, że mnie uściskał, i zdaje mi się, że łza spłynęła mu po twarzy... Ale cóż z tego? Nie pomnę ani słów, które do mnie wyrzekł, ani żadnego innego szczegółu tego wieczora.“

* * *

Fragment drugi nosi tytuł *L'enfance et l'adolescence*.

„Matka moja, wdowa od roku 1814, poślubiła w Brukseli generała Ornano. Ja z moim bratem starszym, w towarzystwie niejakiego pana Carité oraz starego sługi Andrzeja wyjechaliśmy dyliżansem z Paryża, aby połączyć się z matką, która bawiła u wód w Chaunfontaine, niedaleko Liège. Generał Ornano był na wygnaniu w Belgji. Wkrótce potem, w ślicznym dworze wiejskim w okolicy Liège, matka moja w czerwcu 1817 powiła dużego chłopaka, któremu na chrzcie dano imię Rudolfa. Gdy zaś generała Ornano wezwano zpowrotem do Francji, matka powróciła do Paryża w

październiku 1817 wraz z dzieckiem, które karmiła sama, pomimo przestróg sławnego akuszera warszawskiego. Lekarz ten, nazwiskiem Czekierski, oświadczył jej, że jeśli kiedykolwiek odważy się karmić dziecko, przypłaci to życiem. I tak się w istocie stało. Gdyśmy przybyli do Paryża, była już ciężko chora, a wkrótce potem zmarła, 15 grudnia 1817, o godzinie 10-tej wieczorem.

Cały dom pogrążył się w strasznej rozpacz, bólu generała Ornano nie potrafię opisać. Zaiste bowiem, była matka moja jedną z najlepszych kobiet, jakie wogóle istniały na świecie. Mogę to stwierdzić bez uprzedzeń, gdyż, jak się okaże później, związki krwi nie wpływały nigdy na mój sąd.

Po śmierci mej matki brat jej, a nasz wuj, Teodor Łączyński został naszym opiekunem i przybył do Paryża, aby nas zabrać do Polski. Był to człowiek bardzo dobry dla rodziny, przyjaciół i wogóle ludzi równych urodzeniem, natomiast niezwykle surowy dla swych podwładnych i dla chłopów. Nie tylko skazywał ich na kary cielesne, ale na-

wet sam bił własnoręcznie. Nie chcę go wcale uniewinniać, dodam jednak, że z małemi wyjątkami wszyscy właściciele ziemscy w Polsce traktowali w ten sposób swoich poddanych, co mnie, wychowanego poza krajem, oburzało do żywego. Wujowi Łączyńskiemu, człowiekowi niezwykle rachunkowemu i skrupulatnemu w wydatkach, zawdzięczam wiele pod tym ostatnim względem i nieraz mi się przydały w życiu jego zasady porządku.

Podczas pobytu w Kiernozi byliśmy nieraz obaj z bratem świadkami rozmów, prowadzonych po obiedzie z rodziną i sąsiadami, od których drzwi się nie zamykały. Wuj Łączyński trzymał prym w rozmowie, która zawsze schodziła na Rewolucję francuską, na wojny napoleońskie, Paryż i dwór cesarza, a wreszcie na wypadki ostatnich lat, Restaurację Bourbonów, wskreszenie Królestwa Polskiego w Unji z Rosją itd.

Wuj opowiadał często o mojej matce, dla której zachował prawdziwą cześć. Muszę dodać ponadto, że wszyscy ci, którzy znali moją matkę, nie dziwili się temu wcale,

wszystko zaś, co wówczas słyszałem, nie zostawiało mi wątpliwości co do Jej niezwykłych zalet. Była równie dobrą, jak piękną, a to znaczy wiele. Odznaczała się przytem skromnością, pobożnością i wogóle miłosierdziem, zalety niezwykłego rozumu łączyła z wyjątkową pięknnością duszy. Wuj Łączyński w każdej niemal rozmowie składał hołd pamięci swej siostry, to też już od lat dziecinnych nauczyliśmy się pojmować doniosłość poniesionej przez nas straty. Opowiadał nam również o swej wojaczce, przyczem o cesarzu wyrażał się z podziwem i oddaniem, które przetrwały nawet upadek ex-cesarza. Jako adjutant marszałka Duroc'a znał Teodor Łączyński wiele ważnych szczegółów, tyczących się osoby Napoleona, opowiadał zawsze z ogromnem przejęciem, a my słuchaliśmy ze zrozumiałą, trudną do określenia ciekawością. Marzeniem wuja było zawsze zawieźć nas na wyspę św. Heleny, ale czekał z tem aż trochę podrośniemy“ . . .

*

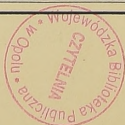
I na tem koniec wspomnień dziecka legendy, dziecka, któremu w jej promieniach dobrze się wiodło i gładko żyło na świecie.

Syn pani Walewskiej wiernie służył idei i pamięci Korsykanina, chociaż nie spełnił jego najgorętszej woli, wyrażonej w testamencie na Wyspie św. Heleny: „Pragnę ażeby Aleksander Walewski przydzielony był do służby w armji francuskiej“.

Po krótkiej próbie służby wojskowej w Algerze, przeszedł do dyplomacji. Przez lat dwadzieścia zgórą pracował dla Francji na tem polu, doczekawszy się wreszcie Drugiego Cesarstwa i swojej dominującej w niem roli. O Polsce nigdy nie zapomniał. Spełnił swój obowiązek w r. 1830, w polu pod Grochowem, i w r. 1863 w daremnych, mimo najgorętszej akcji, interwencjach dyplomatycznych.

Kokardy napoleońskiej nie zerwał i nie splamił. Było mu w niej zawsze do twarzy.

K O N I E C .



SPIS RZECZY.

I.

Dotychczas o tem marzę 1

II.

Pani Walewska 9

III.

Orlątko 81

IV.

Zerwana kokarda 117

V.

Pan Izydor nad Elsterą 133

VI.

Oczyrna dziecka 149

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 332439



000-332439-00-0

